

# MINISTER ZABRONIŁ

Relacja z optymistycznym wydzwiekiem

Romuald Wiśniewski

**M**OJA wizyta zaczęła się od zabawnego wydarzenia. Strażnik w portierni poinformował mnie, którego idzie się do dyrekcji, lecz nie pytał, kim jestem, ani po co ide, tylko powiedział jeszcze:

— Proszę zostawić aparat w portierni. Wnoszenie aparatu fotograficznego na teren zakładu jest wzbronione.

— Kiedy ja mam właśnie zamiar zrobić kilka zdjęć...

— A, to co innego, proszę — uśmiechnął się pan w granatowym garniturze i zrobił zapraszający ruch ręką.

Zaraz za bramą wita mnie tablica, przedstawiająca kolorową mapę świata, zaopatrzona napisem: „Rynki zagraniczne, na które zakład nasz eksportuje swoje wyroby”. Długie strzałki i napisy wskazują importerów: USA, Islandia, Francja, Holandia, Anglia, ZSRR, Maroko, Gwinea, Kuwejt, Madagaskar... Niedaleko druga taka tablica.

Rozglądam się. Obszerny plac, na nim wieka hala fabryczna, jeszcze nie wykończona, baracek dyrekcji i kilka innych mniejszych budynków. Wokół lasy. Nic właściwie nie wiem o przedsiębiorstwie, do którego przyjechałem. Nic, poza wiadomością wyczytaną w „Trybunie Ludu”, „Życiu Warszawy” i kilku innych dziennikach.

że minister handlu wewnętrznego zabronił

uspołecznionym placówkom handlowym w Polsce, sprzedawania krzesel typu „200-125”, wytwarzanych przez Fabrykę Mebli w Zwierzycu nad Wieprzem, gdyż ich jakość jest znacznie niższa od zadeklarowanej przez producenta przy zawieraniu umów z handlem.

Dyrektora naczelnego nie ma. Wicedyrektor zajęty, ma ważną konferencję. Na rozmowę z nim czeka już w sekretariacie kilka osób. Zajmują swoją kolejkę. Sekretarka zaprasza, żebym siadał. Robię to, ale najpierw oglądam krzesło. Zwykle, biurowe, twarde, twardszej produkcji, co uwiadcza nalepka firmowa.

— Nie zamnie się? — pytam.  
— Niech pan będzie spokojny, nasze krzesła są solidne — odpowiada mężczyzna w kombinie, z koleżki do dyrektora. — Ktoś tam musiał chyba krzywo się i spaść, no i nam nabrudził.

— Niech pan się nie uśmiecha, tu nie ma nic dowcipnego — dodaje drugi. — My robimy 120 tysięcy takich krzesel rocznie. Pan wie, co to znaczy? Trzeba wstrzymać produkcję. To uderza nas po kieszeni. No i sprawa ambicji.

— Czy to te krzesła, na których siedzimy?

— Nie, inne, wyścielane, eleganckie, zobaczy pan u dyrektora. Sekretarka pyta, czy ja również w sprawie tych krzesel i skąd jestem? Ach, z prasy. Tu już było kilka osób z prasy. Właśnie dyrektor konferuje z jednym redaktorem z Warszawy. To może i pana zamelduje.

W gabinecie jest kilkanaście osób. Oprócz przedstawicieli fabryki i redaktora z Warszawy, jeszcze przedstawiciel KW PZPR, banku, z którego kredytów zakład korzysta przy przebudowie, i przedstawiciel władz powiatowych. Dyrektor do spraw ekonomicznych, Jan Kosmala, sadza mnie na krześle, miękkim, z miękkim też, lekko odchylonym do tyłu, oparciem. Oparcie i siedzenie pokryte są jednym płatem grubej szorstkiej tkaniny.

To jest właśnie ten zakwestionowany przez ministra mebel.

Tapicerka jest gruba, to prawie fotel, a nie krzesło. Dyrektor siedzi na takim samym. Reszta na innych.

— Tamte też wasze?

— Nie, z Radomska.

— Dlaczego nie używa pan w swoim gabinecie krzesel własnej produkcji?

— Te, które robimy, przeznaczone są do innych celów. Czy gdybyśmy produkowali stolki barowe, to wyłącznie one powinny stać u mnie?

Racja. Zresztą nie schodźmy na margines dyskusji. Dyskusja jest

żywa i ostra. Redaktor z Warszawy n'piera na przedstawicieli fabryki, żeby przyznali się, że knocą swoje wyroby i że minister potraktował ich słusznie. Dyrektor nie przyjmuje tych zarzutów. Wyjaśnia cierpliwie, choć z pewnym zniechęceniem i jakby automatycznie. Widać, że ostatnio odbył już niejedną taką rozmowę.

Dokończenie na str. 8

WYKRES  
WYKRES  
WYKRES



Teatr Dzieci Zagłębia: Aleksander Bick — „Buda Jarmarczna”.

Fot. Z. Kempa

„Trzy teatry” — Marii Bechcyc-Rudnickiej czytaj na str. 9.

Rok założenia 1933

# Kamena

LUBLIN 21.VI.1970 Nr 13 (446)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

## PKS-em cztery razy dookoła Ziemi

Mirosław Derecki

Fot. A. Polakowski

**G**ODZINA 15,30 — mroźne, zimowe popołudnie. Z kieleckiego dworca PKS wyrusza autobus dalekobieżny do Lublina. Pasażerowie mają przed sobą ponad sto sześćdziesięciokilometrową podróż, kierowca — cztery i pół godziny pracy „za kółkiem”. Będzie to jego drugi dzisiejszy kurs na tej trasie. O piątę rano — na długo przed świtem — wyjechał z Lublina, warunki na trasie miał fatalne: zadyмка i ślizgawica, a pełniąc w dodatku funkcję konduktora, musiał na kilkudziesięciu przystankach „zabiletować” wsiadających pasażerów — rozmięniał pieniądze, wydawał resztę, wycinał na biletach skomplikowany szyfr oznaczający datę, numer kursu, trasę i cenę za przejazd, sprawdzał bilety miesięczne, uspokajał pijanego, który zaczął śledząc obok niego kobietę, a wreszcie, gdy słowa nie pomagały — oddał awanturnika w ręce milicji. Przez to „wypadł” z rozkładu jazdy, wysłuchał kilku złosliwych docinków od pasażerów spieszących się do pracy. Przez następne dwie godziny „nadganiał” stracony czas, wciąż w fatalnych warunkach atmosferycznych. Teraz czeka go podobna podróż powrotna. I jeśli na trasie nie zdarzy się pijak, to i tak z pewnością straci sporo nerwów tłumacząc na jakimś przystanku ludziom, że autobus przepełniony, a przepisy ograniczają liczbę pasażerów tylko do liczby miejsc siedzących.

Dyspozytor ruchu wydał już polecenie odjazdu, ale u drzwi trwa jeszcze batalia o wdarcie się do wnętrza wozu. Ludzie, dla których zabrakło w kasie biletów, czepiają się klamki, molestują, proszą, grożą. Jest wprawdzie jeszcze pociąg do Lublina, ale podróż nim, z przesiadkami w Radomiu i Dęblinie, trwa dwa razy dłużej. A każdy chce być w domu jak najszybciej, nawet stojąc przez cały czas jazdy, nawet... rzykując, że przepełniony autobus łatwiej może ulec wypadkowi.

Gdy wezwania do odstąpienia od drzwi nie pomagają i gdy nie ma w pobliżu milicjanta, który odsunąłby tłum, kierowca nieraz zmuszony jest postąpić w sposób brutalny, odepchnąć najbardziej „aktywnych”, zatrzasnąć drzwi przed nosem. Potem do dyrekcji PKS przychodzą listy ze skargami na chamskie zachowanie się kierowcy...

Inny obrazek: niewielkie miasteczko na Lubelszczyźnie, pora obiadowa, dzień targowy. Gdy na gęsto zastawiony straganami i furmankami rynek wjeżdża autobus, rzuca się ku niemu tłum składający się z około siedemdziesięciu osób. I znowu — nie jest to ostatni autobus w rozkładzie jazdy na ten dzień, ale wszyscy chcą pojechać właśnie nim, wrócić do domów jak najwcześniej. Drzwi jeszcze nie zostały otwarte, a tłum napiera na bok samochodu z taką siłą, że lada chwila grozi mu przewrócenie się. Nie pomaga interwencja dwóch milicjantów. Kierowcy ledwie udaje się wyprowadzić samochód z ciżby

ludzkiej i „ułek” na rogatkę, gdzie dopiero wysadza podróżnych. W kilka dni później do odpowiednich władz PKS przychodzi skarga na kierowcę.

Trasa Lublin — Puławy przez Naleczów, Kazimierz. W godzinach popołudniowych zwykle przeciążona. Przy szosie, co 3-5 km, wieś lub osada, a wieś i przystanek autobusowy. Chętnych do podróży mnóstwo — przeważnie na niewielkich trasach — „pekaes” upodabnia się tutaj do autobusu miejskiego. Ci sami ludzie często podróżują ze wsi do wsi, niechają codziennie mają do załatwienia sprawy w Naleczowie, Wąwolnicy, Karmanowicach czy w Kazimierzu. W autobusie panuje niemal rodzinna atmosfera. Owa rodzinność dochodzi nieraz do tego stopnia, że sporo osób nie żąda od kierowcy biletu, albo przy wysiadaniu zwraca bilet, który następnie kilkakrotnie zmienia właściciela. „Niech sobie bidny szofer zarobi, ja swoje zapłaciłem, swoje przejechałem, niech coś będzie i dla niego. Porządny człowiek. Zabrał mnie, a mógł nie zabrać”. Bardzo łatwo zdobyć się na taki gest, szczególnie gdy nie on ofiarodawcą nie kosztuje...

Zimowe popołudnie 1970 r. — podulubelska wieś Cmiłów. Z przeciwnych stron oblodzonej szosy wjeżdżają sta ostry zakręt dwa samochody. Szybko obydwa nie przekracza 50 kilometrów na godzinę. Autobus PKS zjadający do Bychawy jest pełen pasażerów, ciężarówka z przedsiębiorstwa budownictwa przemysłowego wiezie kilka ton tryliniki. Obydwa wozy wpadają w poślizg — ostry kant przyczepy ciężarówki zdriera całą lewą ścianę autobusu. Siedem osób ponosi śmierć na miejscu, trzynastce zostaje rannych. Jeszcze jedna osoba umiera już w szpitalu, a jedna odzyskuje przytomność dopiero w maju. Najpoważniejsza katastrofa samochodowa w województwie od dwudziestu lat. Prasa publikuje wstrząsające zdjęcia z miejsca

Dokończenie na str. 4-5

W siedemdziesiątą  
rocznicę urodzin

## LEON KRUCZKOWSKI

Witold Zechenter

**G**DZIE, kiedy, w jakich okolicznościach poznałem się z Leonem Kruczkowskim — nie pamiętam. Teraz, gdy zasiadałem do pisania wspomnień o nim, gdy przerzucałem teczkę wycinków z dawnych pism, sterty starych afiszów, usiłowałem przypomnieć sobie, jak zaczęła się nasza znajomość, jak to było, że wiele razy mogłem mówić z nim szczerze i otwarcie, nie tylko jak kolega z koleją, ale wręcz po przyjacielsku. Nie mogę sobie jednak przypomnieć początku naszej znajomości osobistej, chociaż pamiętam, że nazwisko Leona Kruczkowskiego było mi już przed tym znane — jak się to określa — „czytelnia”.

Bo znałem go jako poeę. Tak bowiem zaczął swą twórczą drogę. Pisał wiersze jako bardzo młody człowiek, potem przeszedł całkiem na prozę, by znów, w ciężkich latach wojennego obozu, powrócić do poezji — napisał wtedy kilka przejmujących pięknych wierszy w rytmie tęsknoty za krajem, za najbliższymi.

Chyba jeszcze jako kilkunastoletni chłopak, dorywający się do niekonięcznie dozwolonych lektur (Kruczkowski był o kilka lat starszy ode mnie), spotkałem się po raz pierwszy z jego nazwiskiem w krakowskim tygodniku „Miski”. Było to czasopismo na wysokim poziomie i literackim i graficznym, każdy numer czytałem wiele razy jeszcze podczas lat pierwszej wojny, bo wtedy zaczęło się ukazywać, a wnet po wojnie zniknęło. Nasz dam był takim typowo dziennikarsko-literackim, stopy pism i czasopism zawałaly wszystkie półki, nawet na podłodze, w jakimś kącie — były tam i „Maski”, w których pasjonowały mnie niesławne nowele Grabińskiego, karykatury Słehulskiego, wiersze Tetmajera, artykuły Irzykowskiego, rysunki Hryniewskiego. Roczniki „Masek” przetrwały w moim dorosłym już potem domu — aż do drugiej wojny. Ucieczki, przeprowadzki nagle a niespodziewane, różne niedole strasznych tych lat wyczyliły mieszkanie z niezliczonych ilości starych czasopism — jakże mi ich dzisiaj brakuje!

Tam też chyba po raz pierwszy spotkałem nazwisko Kruczkowskiego, by potem, jako z autorem z rzadka drukowanych wierszy, spotykać się z nim w latach późniejszych, a osobliwie poznać z ich autorem dopiero wtedy, gdy znalazłem się na uniwersytecie. Jeszcze w ostatniej, maturalnej klasie szkoły średniej zostałem w r. 1925 przyjęty do uniwersyteckiego koła „Hellow”, sekretarzem tam potem jako świeżo upieczony akademik, jak się wtedy nazywało słuchaczy uniwersytetu i wręcz z Adamem Polewką byłem motorem przekształcenia tego koła, mającego z różnych powodów marke raczej prawicową, w koło zdecydowanie lewicujące — „Litart”, którego zostałem pierwszym prezesem i kierowałem nim aż do 1927 roku, gdy wyjechałem na dalsze studia do Paryża. „Litart” wydawał w latach 1926-1927 „Gazetę Literacką”, której byłem współredaktorem — i wtedy to zapewne poznałem Leona Kruczkowskiego, który zgłosił akces do „Litartu” i stał się jednym z współpracowników „Gazety”.

Schodziliśmy się wtedy — młodzi pisarze Krakowa — w pokoju mieszkalnym Jerzego Brauna, który to pokój, wydzielony z mieszkania państwa Braunów, był zarazem pokojem redakcyjnym i redaktorskim. Tam już widzę wyraźnie Kruczkowskiego, widzę go, jak przemawia cichym, jakby przychrypniętym głosem, matowo i spokojnie, bo tak mówił zawsze, tak się ruszał, jakby trochę na zwolnionych obrotach. Może to było tylko wtedy takie moje wrażenie, gdyż wszyscy inni, którzy tam, w redakcji „Gazety Literackiej”, bywali i działali, byli obdarzeni wielkimi temperamentami, dochodziło do scysji, do krótkich spięć. Kruczkowski był zawsze spokojny, wyciszony — i tak zresztą pamiętam go nawet z lat ostatnich, widać była taka już jego natura. Gdy przeglądałem stare, po-

Dokończenie na str. 6-7

Zmarli

W Koszycach — 70-letni pisarz Zoltan Fabry, twórca w języku węgierskim...

Literatura

W Warszawie odbyła się sesja naukowa pt. „Problematyka związków literackich polsko-rosyjskich i polsko-radzieckich w wieku XX”...

Muzyka

Na VIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie zgłoszono 131 kandydatów...

Film

W pięknych plenerach Warmii i Mazur powstają dwa nowe filmy polskie. Maria Kaniewska realizuje film historyczny...

Różne

Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie odwiedziło 70 tys. osób. Do 2300 wystawców z 5 kontynentów...

Teatr

Teatr Współczesny we Wrocławiu wystawił w reżyserii Andrzeja Witkowskiego sztuki...

Sztuka

W Krakowie zakończyły się III Międzynarodowe Biennale Grafiki. Grand Prix w dziedzinie „Człowiek i świat współczesny”...

Na Bliskim Wschodzie bez zmian?

MINEŁA już trzecia rocznica izraelskiej napaści na kraje arabskie. Stan napięcia na Bliskim Wschodzie ciągle się utrzymuje...

Pogłębia się również koordynacja między frontami arabskimi. Oprócz ciężkich bojów na froncie egipskim...

W polityce zagranicznej mówi się ostatnio o izolacji Izraela. Ani Francja ani Wielka Brytania nie może się zaliczyć do „przyjaciół Izraela na dobre i na złe”...

OLYMIA (nr 2, Miód 1970) informuje o wymianie publikacji pomiędzy zionogórskim „Nadodrzem” i miśskim miesięcznikiem „Bielarut”...

Stawką w tej polityce jest dostęp do bliskowschodnich i północnoafrykańskich zasobów ropy naftowej...

Bez tej nafty trudno byłoby się poruszać machiną gospodarczą i wojskowej państw NATO...

Cele USA są więc bardzo przejrzyste. Ale Waszyngton zdaje sobie dobrze sprawę, że jego możliwości oddziaływania na rozwój sytuacji bliskowschodniej...

„Ulica za ulicą i ani jednego całego domu. Jak gdyby dekoracja z filmu o katastrofie kosmicznej. Obok kupy gruzów meczel poszczereblony przez odłamki...”

— dziwna rzecz! — nie widać zniszczonych obrabierek w budynkach, gdzie się mieściły warsztaty, w opustoszałych sklepach...

— Obecnie w Suezie — mówił mi przedstawiciel miejscowej administracji — przebywa osiem tysięcy ludności cywilnej...

— W czym dopatruje się pan zmiany w sytuacji wojennej? — zapytałem w Suezie generała egipskiego...

Pisałem już w tej rubryce, że najtrudniej wygląda przebieg na temat aktualnych wydarzeń międzynarodowych. Tu trzeba stale śledzić rozwój wydarzeń...

Właśnie Stany Zjednoczone — i tu znów powołam się na cytowany wyżej artykuł z „Trybuny Ludu” — nie mają już w świecie arabskim bardziej wpływowego sojusznika i stawiają na Izrael. Z jego pomocą...

ciem pierwszej drukarni białoruskiej, zarazem jednej z pierwszych drukarni na terenie słowiańszczyzny wschodniej...

Nauka o języku białoruskim wzbogaciła się ostatnio pracą H. Jurczanki pt. „Narodnaja sinaniemka”...

W jednym z zebrań na ulicach Warszawy rozpoznano piosenkarkę Jalme Piana, który przed wojną był boteżem młodych...

W skłórkę wstąpił Wasilij Zujonka „Krutajaz” głównym motywu są jidryczne wspomnienia z dzieciństwa...



19-letnia Sylvie d'Abertez edaniem recenzentów pokazała najładniejszą twarz w filmie „Zabawem Rasputina”. A następnie skomentowała tak: „tu sexy miesza się wspaniale z detektywistyką”.

Za Bugiem

Odrodzenia w drukowanych przez siebie książkach. Te utwory ukazały F. Skarynę jako społecznika szerzenia wiedzy...

JEGO „Ogród” zobaczyłem po raz pierwszy pięć lat temu na wystawie lubelskiej i odtąd ślad owego wizerunku zatrzymał się w pamięci. Oglądałem później setki obrazów malarzy „naiwnych”, najdłużej zatrzymując się w podziemnej sali opery bukareszteńskiej: rumuński „prymitywizm” należy do najbardziej autentycznych, dekoracyjną narracją przekazuje smak gorzostych pejzaży tego kraju i człowiecze z nimi związki — postać ludzka nie istnieje poza krajobrazem. Ale nawet i to zhierarchizowane bogactwo nie zdołało zatrzeć „Ogród”.

Wtedy, w 1965 roku, pewna pani, zajmująca się z urzędu twórcami ludowymi, dyskretnie, kilkoma słowami wtrącała autora tego obrazu w stereotyp socjologiczny: — Maluje w samotności, jest kawalerem, rodzinna wieś dziwnie się przegromnie tej jego pasji, dalekiej od poczynania normalnego człowieka.

A więc wieś sztych z niego, uważa za dziwaka, który stracił zdrowy, chłopaki rozsądek, wyparli się praktycznej wiary dookołań zbiorowości, kto wie, może pakuje z nieczystym? Trudno się dziwić, że zadrżała dziennikarska ręka przed takim oto głębokim źródłem dramatycznych konfliktów, barwnych anegdot, roziskrzonych egzotyką fabuły. Przede wszystkim jednak był obraz.

Przedstawiał kwitnący ogród: gęsty, nabrzmiały kolorem, czysty dla botanika. Ale żaden atlas botaniczny nie mógł dać do niego klucza. Wiernie „odrobione” kwiaty uciekały z racjonalnej grządky łatwych terminów i określały w rejonie poetyckiej metafory, w błyskawicznym skrócie ujawniającej drapieżną witalność natury. Na ten błysk trzeba było poczekać, przedrzeć się doń przez miernie utkana, dekoracyjną siatkę listków,

— Piwa? — Piwa. Wyobrażałem sobie Albiczuka inaczej: jako krepkiego, przysadzistego, może nawet okragłego — na kształt narwiska, które nosi. Powinien wyrażać się prościej — nic z tego. Podobno miał być w konflikcie ze wsią — nie bardziej bzdurnego: jest szanowany, cenią tu jego pracę. Na dodatek zetknął się kiedyś z twórczością Goethego i Szekspira, często przegląda album Galerii Tretlakowskiej, zna malarstwo Henri Rousseau — Celnika. Czy więc jest malarzem „naiwnym”, „prymitywnym”, „niezdolnym”, czy jak jeszcze by go określić, posługując się terminami z historii sztuki i krytyki artystycznej? Czy jest malarzem ludowym?

„Ogrody” odpowiedział: stworzył nas malarz ludowy, „naiwny”. Kilka szkiców malarzkich zaprzeczy temu zdecydowanie, bo są to prace abstrakcyjne! Poza tym Albiczuk produkuje masowo obrazy dewocyjne i landszafty, ani gorsze, ani lepsze od „dekli” spotykanych na małomiasteczkowych jarmarkach.

— Dla zarobku. Moje są tylko „Ogrody”. Kilka obrazów, w których przedstawiłem własny ogród, ten właśnie, w różnych porach roku.

W szarej przeciętności uprawianego od lat rzemiosła rozwarła się nagle wąska szczelina, w której wychylił się świat sztuki autentycznej, pobudzonej niemal intymnym kontaktem człowieka z naturą. Malarz i jego twórczość wymykają się jednoznacznyemu klasyfikacjom, lecz postawa tego artysty i kształt jego dorobku mają jedno źródło: naturę, jej szczerą i nieco naiwną przeżywaną.

Urodził się w Dąbrowicy Małej 61 lat temu. Będąc pastuchem miał sporo czasu na samotną obserwację; interesowały go przede wszystkim rzeczy małe i niskie: trawa, kwiaty i owady. Zaczął rzeźbić.



niędzy. To przypadkowe spotkanie okazało się przecieł korzystne: przypomniało mu jego własne malowanie, przyspieszyło decyzję, z którą nosił się już w momencie przyjazdu do Gdyni. Postanowił wracać do rodzinnej wsi, choć szwagier załatwił mu właśnie pracę. Zle się czuł w tym dużym, pięknym mieście, źle się czuł w każdym mieście. Do życia potrzebował rozległych przestrzeni.

— Gdybym miał pieniądze, malowałbym tylko kwiaty, pola i łąki, te naturalne, nie siano.

— Dlaczego nie lasy? — Dużo lasów namalowali malarze... — Kwiatów i łąk także. — Ale ja maluję z bliska, tak od środka. Maluje bardziej „od środka”, niż przypuszcza. Maluje swoje urzeczenie naturą, jej żywotność, malowniczość, jej magię. — Wie pan, kupiłbym jeden z tych obrazów.

— Który? — Przyjadę za dwa tygodnie, to wybiorę. — Muszę wiedzieć teraz, żeby przygotować kopię. Oryginałów nie sprzedaję, nie sprzedam nigdy. Na kopie też znajdują się często lekarze, ksiądz kanonik. „Czerwiec” zapisałem w testamentie doktorowi, który wyleczył mnie z choroby, a ten wymaluje jeszcze raz — dla syna mojego zmarłego na raka przyjaciela; jego całą figurę wprowadzę między kwiaty.

A jednak dwa oryginały oddał: jeden Instytutowi Sztuki PAN, drugi jakiemuś kolekcjonerowi za granicą.

— Chciałem się odwzajemnić za przysłane mi katalogi wystaw, w których brałem udział: w Stuttgarcie, Londynie, Szwajcarii, Bratysławie...

O europejskich podróżach obrazów nieznanego malarza ze wsi Dąbrowica Mała zadecydowała wystawa w Lublinie w 1965 r. Wtedy właśnie „Ogród” zwrócił uwagę Aleksandra Jackowskiego, znanego badacza i opiekuna sztuki ludowej. Obejrzał płótno Albiczuka, skontaktował się z autorem i prace pojechały za granicę. A Powiatowy Dom Kultury w Białej Podlaskiej jakoś nie może zorganizować wystawy swego, było nie było, sąsiada — żarliwego artysty. Zyczliwość go darzy, to prawda, doprowadził do jednego, planuje drugie spotkanie Albiczuka z potencjalnymi odbiorcami sztuki. Jakże to, przekraczające siły PDK, trudności nie pozwalają na urządzenie wystawy zasłuchanego w naturę twórcy?

Mieszka w izbie o powierzchni 5 metrów kwadratowych — niskiej, zarzuconej papierami, płótnami, farbami. Sąsiedzi proponowali mu przyzwoitszy pokój. Nie przyjął.

— Tu przynajmniej czuję się swobodnie, nikt mnie nie kępuje, nie naprzykrza się z prośbami o namalowanie portretu gospodarza, jego żony i dzieci. Tu mogę malować nie przejmując się, że zachlapałem podłogę, tu mogę, kiedy chcę, grać na skrzypcach, od siedemnastego roku życia gram to, co chcę, zależy od nastroju.

Pisze też dziennik. Nie chciał pokazać nawet kartki. Obiecał, że przyśle kilka wyciętych z tego swojego pisania zdań — „czy mogą być filozofskie?” — lecz nie przysłał. Może za dużo chciałem? Załedwie po kilku godzinach znajomości!

# Malując od środka

Ireneusz J. Kamiński

platków, lodyżek. W zastygłym w kuliste rejonie „Ogrodzie” nie było człowieka.

Po pięciu latach — kilkakrotnie zapowiadane wystawy malarza w Lublinie nie doszły do skutku — telefonuję do Powiatowego Domu Kultury w Białej Podlaskiej. Jest początek marca.

— Tak, maluje, chcemy właśnie urządzić wystawę jego najnowszych prac. O terminie powiadomimy.

Czekałem dwa miesiące. W maju zatelefonowałem po raz drugi.

— Wystawy nie urządziliśmy, jakoś nie wychodzi.

Pojechaliśmy do wsi Dąbrowica Mała w powiecie białopodlaskim, oddalonej od miasta o około 30 km.

— Albiczuk Bazyl? — niski mężczyzna odszedł od pługa i machnął ręką przed siebie.

— Po środku wsi.

— Jaki to człowiek? — przypomniałem sobie o konflikcie jednostka — społeczeństwo.

— A jaki ma być? Człowiek...

Jedziemy przez wieś, dwoma rzędami chłap rozłożoną po obu stronach płaszczystej drogi, na opłotkach nie ma wizytówek, coś za długo jedziemy. Stop.

— Tamta biała chalupa — pokazuje mężczyzna w welwetowych spodniach. — Jaki człowiek? W porządku, panie, w porządku człowiek.

Pobiłony, wkopany w ziemię dom, okienka na podwójny krzyż, obok ogród, w jego furcie wysoki, szczupły mężczyzna o wyrzniętej, pięknej twarzy, na blond włosach siwizna nie eksponuje się zbyt mocno. Ubrany w koszulę koloru khaki, brązowe spodnie, w dłoni trzyma telegram, który wczoraj wysłałem. Kilka słów wzajemnej prezentacji, po czym przechodzimy do ogrodu, gdzie lawka z desek zbita i stół na kozłach. Ciepło, słonecznie, spokojnie.

— Nie przerabiałem na prostotę, na ludowo, u konia nawet muskuły musiałem wydobyć, to mi dawalo zadowolenie.

Potrzeba namacalnego konkretno ujawniała się również pod inną postacią: rysował wizerunki poetów, z których wierszami zetknął się w szkole, uwiecznił Darwina po lekcji biologii.

W 1939 roku został zmobilizowany. Co zapamiętał z tego okresu?

— W oddziale był taki Pruszkowski, znał literaturę, a kapral Bieniewicz muzykę... Rozmawialiśmy o tym.

Wojna rzuciła go za wschodnią granicę. Pracował w sowchozie, rysując ludzi i kwiaty, sportretował dyrektora szkoły w Wielkiej Zachorowie. Okolica zaczęła mówić o „Polaku chudożniku”. W czerwcu 1941 r. do sowchozu przyjechał rewizor.

— Spotkałem się z nim o godzinie 9 wieczorem, Butowicz mu było. „Tu nie miejsce dla ciebie — powiedział. — Do szkół pójdziesz”.

I poszedł odpowiednio przygotowany do egzaminu przez miejscowych nauczycieli. Trafili jednak do szkoły rzemiosła artystycznego, a przecież interesowało go tylko sztuka. Wkrótce potem hitlerowcy napadli na ZSRR.

W Armii Czerwonej znalazł się w 1943 roku, przeszedł w jej szeregach szlak bojowy od Kurska do Rostocka. A co zapamiętał z tych lat?

— Byłem saperem przy sztabie. Zostałem ranny... Kiedyś na białku zobaczyłem oficera radzieckiego: siedział zamyślony, twarz miał inteligentną. Podszedłem, zagadałem... Rozmawialiśmy o „Pulku Igora”, o poezji.

Po wojnie odwiedził siostrę w Gdyni; brat zginął w bitwie. Bezełowo błądząc po mieście, natknął się na handlarzy obrazów — kupiłby jeden, przedstawiający kobietę o sugestywnych oczach, zamalowanych podłym lakierem dla taniego efektu, ale nie miał pie-

Wiosną 1947 r. jest już w Dąbrowicy Małej. Z trudem jednak przystosowuje się do środowiska, z którego wyrzuciła go wojna. Pewnego dnia bierze do ręki papier i akwarele, wychodzi w pejzaż.

— Patrzę na zachód, a tam chmurki baraszkowe, niebiesko i białe, a pod stopami miętka zielen. Zaczęłem malować, odnalazłem spokój.

Przez długie lata malował jednak nie to, co chciał. Ozdabiał kościoły, zręczną dłonią kolorował makaty, rzeźbił dekoracyjne detale. Był solidny w robocie, terminowy, wkrótce jednoosobowa firma „Bazyli Albiczuk” zyskała renomę i liczną klientelę.

— Zaručili mnie makatami, zarabiałem, czując wzrastający wstręt do takiego malowania. Ocknąłem się w 1965 roku, wtedy powstał pierwszy „Ogród”.

Malowane „Ogrody” oparte o ścianę letniego baraszkowca, wzniesionego przy pomocy szwagra — marynarza, przeglądają się w naturalnym ogrodzie. Na poszczególnych obrazach zarejestrowano kolor kwiatów w czerwcu, lipcu, sierpniu, wrześniu, październiku.

— Nawłóć, astry, chryzantemy, rozchodnik, dziewięciosil, malwy, floksy, rudbella, helem, lubin, maki, irysy... — wlicza skrupulatnie Albiczuk. — W obrazie musi być bogactwo, różnorodność, nie maluję kwiatów jedną plamą. Kiedy widać słupki, płatki i pręciki, to jest dopiero ciekawe.

Z rzadka pojawiające się na tych płótnach drzewa są tylko tłem. Dominują kwiaty z ogrodu, który sam pielęgnuje, nie tolerując w nim, w zarysie jego miniaturowych alejek, kątów ostrych i linii prostej, „bo w naturze takich nie ma”. Ten ogród przypomina azyl, żenująco skromny, ale konkretny azyl człowieka o wielkiej wrażliwości, który na co dzień musi robić to, co go mierzi.

## O czym mówili twórcy ludowi?

NASZA Kochana lubelska „Kamena” — mówili. Słowo honoru dają — tak mówili. Chwała Lublinowi, tam jest „Kamena” z „Ziemią i Pienią” i Wydawnictwo Lubelskie — mówili. I to gdzie się działo? W Olsztynie, podczas — plenu tytułu — II Krajowego Walnego Zjazdu Stowarzyszenia Twórców Ludowych (27—28 maja). „Tygodnik Kulturalny” też chwalało. „Zielony Sztandar” chwalało. „Chłopską Drogę”. Za publikowanie ludowego pisarstwa. Wydawnictwa Literackiego nie

chwalono, a stało się to za sprawą przedstawiciela pisarzy chłopskich z grupy „Gronie”, działającej w Krakowie. O jakimś jednym tomiku poetycki rocznie chodziło.

Kwestia małych możliwości publikacyjnych ciągle się pojawiała. W Stowarzyszeniu najwięcej bodaj poetów. I stąd. Poezji awangardowej zwykły czytelnik nie bierze do ręki, naszą wszyscy czytają — argumentowali. — Trzeba ustalić statutowo wysokość honorariów autorów. Przystąpił zarząd (Stowarzyszenia) niech spowoduje zrównanie praw pisarzy ludowych ze wszystkimi pisarzami (oklaski).

Ale podnoszono też własną odrębność. Mamy swój styl, nie naśladowujemy klasyków czy nowoczesnych. Nasza poezja to dobra lektura dla ludzi dopiero rozpoczynających edukację literacką. Tu się ma sprawdzić ich poezja. Jeśli wiersz napiszą, a na spotkaniu autorskim go przyjmą, to wiem, że jest lepszy niż ten, który przyjmą w gazecie (oklaski).

Recytowali swoje wiersze — nowe, ale i stare, czasów partyzanckich sięgające i jeszcze dawniej. O tych pięknych tradycjach było bardzo wiele. O pielęgnowaniu polskiej mowy na Śląsku, Warmii i Mazurach, kiedy tu Niemiec panował. O samorodnej poezji partyzantów, anonimowej często pieśni, która pozwałała przetrwać i walczyć:

Niech bruchacze się pasą, A skąpy biją trzos, Dyplomata o sławie śni.

My germańskiej potędze Smlejemy się wciąż w nos, A słowa jak pies Spoczywa nam u drzwi.

Ta pieśń partyzancka w zapomnieniu, tylko starsi pamiętają, uczestnicy tamtych spraw. Nikt dzisiaj tego nie zbiera, za mało się drukuje. Tak stwierdzali.

Starsi przypomnieli swoje działania przewojenne w ruchu ludowym, swoje trudy samokształcenia. Pamięć tradycji ruchu ludowego, a przede wszystkim tradycji chłop-patrioty sięga u nich niezwykle odległych czasów. — U nas we wsi jest dzwon, który dał Jagielło za wystawienie oddziału krakusów. A może to chłop z mojej wsi zabił mistrza krzyżackiego? Ten, który to mówił, pojechał razem z uroczystą delegacją składać wieńce na polach grunwaldzkich przewagi Polaków.

Wiedzą, że twórcy ludowy to i dzisiaj działacz społeczny na wsi. Rola wojewódzkich oddziałów STL-u ciągle w związku z tym rośnie. O tym wiedzą także. Nowych oddziałów się domagają. Poprzez STL poznajemy kraj i ludzi, uczymy się, choć często startowaliśmy od zera. Proste słowa. I prawdziwe. Wiedzą też, że trzeba pomóc starym ludziom, w zapomnieniu kontynuującym folklor. Odkryć ich i jakoś chronić, jeśli pozostają na... nie-lasce rodziny. — Czasem rodziny nasze uważają, że przynosimy im wstyd, jedzą na wygłupy, mówią o zjeździe. Musimy się pozyczyć w naszym środowisku dorobić. To sta-

ruku literatury, która może już niewiele mieć wspólnego z autentyczną ludowością, a jeszcze niedużo z pisarstwem w ogóle?

Spośród młodego pokolenia wyraźta w każdym razie generacja działaczy klubów wiejskich, powiatowych oddziałów STL-u, których tworzenia domagano się na zjeździe. W pewien sposób łączy się to z poprawką, jaką zgłoszono do statutu STL-u, o podziale członków na rwyeczajnych i wspierających. Określenie statusu i uprawnień twórcy ludowego musi się dokonać w najbliższej przyszłości — dla ostatecznego wyjaśnienia sytuacji organizacyjnej i ludzkiej, w jakiej się cały ruch znalazł.

M. P.



Rys. L. Bańkiewicz



# Miasto nad Solawą

Marek Adam Jaworski



Zamek Heidecksburg

JUZ przed wyjazdem do NRD otrzymaliśmy dokładny plan — z rozbieżnym na godziny! — naszego pobytu. Piątek, 10 kwietnia, był przeznaczony na miasto Rudolf. Szukałem tego miasta na mapie, szukałem wzmianki o nim w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, ale bezskutecznie. Nieporozumienie wyjaśniło się na miejscu. W dosłownym tłumaczeniu z niemieckiego nazwa brzmi: Rudolfmiasto, ale tak tłumaczyć nie można. Rudolfstadt to po prostu Rudolfstadt. Wielka Encyklopedia Powszechna pisze o nim: miasto w południowo-zachodniej części NRD (okręg Gera) nad Solawą; od 1488 prawa miejskie, 30,4 tys. mieszkańców (1963); przemysł maszynowy, metalowy, szklarski, porcelanowy; na przedmieściu Schwarze duże zakłady chemiczne (włókno sztuczne); etnograficzny park; gotycki kościół; pałac Ludwigsburg; zamek Heidecksburg (przebudowany w XVIII w. na muzeum).

Dzień jest słoneczny, po wczorajszym śniegu nie pozostało już ani śladu. Krajobraz malowniczy. Chciałoby się tutaj przyjechać latem na dwa, trzytygodniowy wypoczynek! Na razie można tylko pomarzyć, chociaż nasi mili gospodarze łączą piękno z pożytecznym i chcą nam również pokazać nieco uroków tej ziemi.

Ze ścian patrzają na nas dawni właściciele tego zamku, piękne matrony w długich szatach, skwaszeni dziadkowie, uśmiechnięte dziewczynki, które tu dopiero mogły się swobodnie bawić w chowanego!

Nie jestem historykiem sztuki, nie kuszę się, aby opisać moje wrażenia, przy których czytaniu fachowcy wydeliby pogardliwie wargi, a ja musiałbym się rumienić jak szubak. To trzeba po prostu samemu zobaczyć. Z braku innych możliwości służę czytelnikom zdjęciami i informacją, że zamek spalony niemal doszczętnie w czasie pożaru w 1735 roku został w następnych latach (1737—1786) odbudowany i w takim mniej więcej kształcie zachował się do dnia dzisiejszego. Stanowi on teraz przepiękne muzeum, które zwiedzają corocznie olbrzymie rzesze turystów z całego świata. W osobnych salach ekspozuje się militaria i... bardziej lub mniej egzotyczne zwierzęta. Z braku dostatecznej ilości czasu przemknęliśmy po zamku jak talfun, pilnie bacząc, by nie przetrącić jakiegokolwiek posagu lub by nie nadziać się na któryś ze sztyletów. Przez moment zastanawiałem się, ile by to można z takiego zamku wykroić mieszkań M-3? Nie podzieliłem się jednak głośno moją zadumą, nie chcąc uchodzić za całkowitego profana, barbarzyńcę z Lublina, który poza zagryziony lokal redakcyjny przy ul. Narutowicza 33 w oficynie nie powinien nosa wystawiać.

Dwie godziny minęły jak strzelił i już opiekunka prosi na obiad. Wracamy do centrum miasta i zajmujemy miejsca w wytwornej restauracji. Zjadłoby się śledzika w śmietanie, albo śledzika w oleju, ale w NRD łatwiej o kawior niż o te polskie specjalności, których smaku tu chyba nie umiemy docenić. O flaczkach też tylko można pomarzyć, za to we wszystkich restauracjach w karcie potraw widnieją te same zupy: bulion, solanka, pomidorowa i gulasz (w charakterze zupy!). I nie licząc gości z Polski, że dostaniesz pełny talerz! W NRD — i chyba w NRF, i chyba w Berlinie zachodnim — zgodnie ze starą niemiecką zwyczajem zupę podaje się w filiżance, a jest jej tyle, co kot napłakał. Może i dobrze, jako że zupy przecieć tuż. Gdy nieco spadnie brzuszek, wyjdzie to tylko na zdrowie.

Stop! Dość o jedzeniu, bo Wacław Gralewski, który kiedyś w „Kamieniu” prowadził sympatyczny kącik „Opowieści kulinarne”, poradził mi o kradzieży tematu. Zanim jednak zatrzymam mą maszynę do pisania, czuję się w obowiązku stwierdzić, że takiego brzołu z pieczarkami, jak właśnie tu, w Rudolfstadt, już dawno nie jadłem...

Czas jednak obtrzeć usta serwetką bo „protokół” przewiduje na godzinę 14 wizytę w wojewódzkiej szkole artystycznej sztuki ludowej.

Przy długim stole w piwnicy zgromadziła się grupa działaczy i pracowników kultury. Gisela Rudolph (a może Rudolph, bo tak mi zapisała swoje nazwisko w notesie, że nijak odczytać nie mogę) opowiada o trzech zadaniach szkoły. Ma ona na celu podnoszenie kwalifikacji pracowników kultury, doskonalenie amatorów tworzących sztukę ludową, dokształcanie wychowawców świetlicowych.

Gisela jeszcze mówi, ale już padają pytania pod naszym adresem, wkrótce dyskusja schodzi na tory twórczości ludowej i naś gospodarcze przyznają, że u nich nie zawsze jest to ruch samorodny. Mamy pole do popisu i dzielimy się doświadczeniami polskimi. Mówię o Stowarzyszeniu Twórców Ludowych, które właśnie w Lublinie ma swoją siedzibę i które na Ziemi Lubelskiej mogło tak ładnie się rozwinąć. Poczciwki „Ruchu” przed-

stawiające prace twórców ludowych, wycianki lubelskie, koronki łowickie kursują z rąk do rąk.

Potem Henry Struck przechodzi na tematy teatralne. Powiatowe miasto Rudolfstadt ma własny teatr, i to teatr o starych tradycjach, został on bowiem założony przed 180 laty. Jednym z dyrektorów tego teatru był sam Goethe. Właśnie tu, w Rudolfstadt, Goethe zawarł przyjaźń z Schillerem, tu poznał swoją żonę, pobyt w mieście odbił się na jego twórczości. Dzisiaj teatr daje 18 premier w ciągu roku. Są to dramaty, komedie, ale także opery i operetki. Jak na teatr powiatowy, zjawisko zadziwiające. Oczywiście, artyści często wyjeżdżają ze spektaklami teatralnymi do innych miast okręgu Gera. I tak samo, jak i ich koledzy lubelscy, narzekają na brak frekwencji, zwłaszcza w czasie wystawiania niektórych sztuk ze współczesnego repertuaru...



W wojewódzkiej szkole artystycznej sztuki ludowej

Jeszcześmy się nie nagadali, a już musimy się żegnać, bo czekają na nas: kierownik wydziału propagandy KP SED, tow. Horst Unger, i sekretarz Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego Niemiec Demokratycznych, tow. Hans Greusel.

Rozmowa jest bardzo swobodna, szczerza. Tow. Unger nie przekroczył chyba czterdziestki, jest typem młodego działacza politycznego SED, szybko się zapala, nie brak mu pewności siebie, takiej pewności, jaką ma człowiek, który jest przekonany, że tylko tak być powinno, jak jest. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy się ze wszystkim zgodzili, ale sądzę, że rozumieliśmy się wzajemnie, że odróżnialiśmy specyfikę naszych krajów, kiedy to i w pracy partyjnej preferujemy takie metody działania, które w innych przecież warunkach Polski czy NRD najlepiej zdają w praktyce egzamin.

I znów w drogę. O godzinie 19 jest zaplanowane spotkanie w kombinacie tworzyw sztucznych w Schwarze, dzielnicy Rudolfstadt. Kilka kilometrów jazdy samochodem i już jesteśmy w nowym domu-kulturze. Na sali kilkadziesiąt osób. Siedzą przy stołkach — mężczyźni, kobiety, trochę młodzieży (stosunkowo mało), kelner roznosi piwo, a więc nastój niezbyt oficjalny.

Dziś moje wystąpienie. Odczuwam pewne zmęczenie, ale w tym środowisku robotniczym, w środowisku inteligencji technicznej, stanowiącym bardzo wdzienne audytorium, szybko się zapalam i nawet nie patrzę do notatek. Temat ten sam, co zwykle, można go określić po prostu: dzień dzisiejszy naszego kraju. Mam już pewne nowe doświadczenia z NRD, a więc mogę dokonywać konkretnych porównań. Mówię o wielkich zniszczeniach wojennych, podkreślam, że faszyzm przyniósł również wielkie cierpienia samemu narodowi niemieckiemu, że Polska zdaje sobie spr-

wę z tych przeobrażeń, które nastąpiły w NRD... Teraz, gdy piszę te słowa, odczuwam, że brzmią one sloganowo; bardzo zresztą trudno przekazać mój nastrój, kiedy miałem przed sobą słuchaczy z innego kraju, kiedy występowałem oficjalnie jako lektor Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, ale jednocześnie ciągle dochodził we mnie do głosu dziennikarz, który mógł sobie pozwolić i na osobiste spostrzeżenia, pod którymi zresztą zawsze bym się podpisał.

Później pytania. Jest ich dużo, bardzo dużo, sądzę, że gdyby nie późna pora (skończyłoby się spotkanie po trzech godzinach), byłoby jeszcze więcej. W pewnym momencie widziałem kilkanaście rąk wzniesionych do góry, nie wszyscy mogli już zabrać głos...

Edmund Urbański odpowiadał na te pytania z gatunku „tradycyjnych”: jakie są partie polityczne w Polsce, jak działa Front Jedności Narodu, jak Front współpracuje z władzami miejskimi przy rozwiązywaniu problemów komunalnych. Ale były i takie:

— Czy w Polsce też są młodzi ludzie z długimi włosami i jak wy sobie z nimi radzicie? Odpowiedziałem po prostu: nie jest problemem, czy ktoś nosi włosy długie czy krótkie, ważne jest, co się pod tymi włosami kryje, to znaczy, jak ci ludzie z długimi włosami mają umebłowane głowy.

Pytający kiwał głową, co zrozumiałem jako aprobate.

Po chwili wstał inny słuchacz: — Czytałem w prasie artykuł, że Polska przoduje w budowie okrętów. Przecież Polska nie miała w tym względzie żadnych tradycji. Jak to się stało, że teraz macie takie osiągnięcia?

Mogłem odpowiedzieć drętwo. Wybrałem inną drogę:

— Nie wiem. Sami się nad tym zastanawiamy. Przez kilka lat mieszkałem w Szczecinie. Tamtejsza stocznia ma wspaniałe sukcesy. A przecież w tej stoczni pracuje wielu byłych chłopów, którzy przyjechali do Szczecina z głębi kraju. Oni często przedtem nigdy morza nie widzieli. I oni właśnie wraz z nieliczną grupą fachowców odbudowali stocznice, zbudowali nowe pochylnie. Oni i ich synowie tworzą dziś takie okręty, które zadziwiają świat.

Czywiście oddaję tylko sens odpowiedzi, mówiłem dłużej, ale starałem się „nie truć”. I sądzę, że taka odpowiedź bardziej przemówiła do słuchaczy, niż gdybym mówił: „dzięki temu a temu...”

Na zakończenie spotkania przygotowano dla nas podarki miejscowego wyrobu: dwie kaszule non-iron w szarym kolorze. Serdecznie podziękowaliśmy dyrektorowi kombinatu, przewodniczącemu Miejskiego Komitetu Frontu Narodowego Niemiec Demokratycznych, tow. F. Gaudekowi, ale do dziś nie wiem, jak to się stało, że dobrano mi właśnie ten numer koszuli, który pasuje na mnie jak ulał (Edmundowi też!). Wzięto mi miarę z szyi, kiedy spałem?



Fragment wnętrza zamku

W Rudolfstadt zaczynamy nasz pobyt od zwiedzenia owego zamku Heidecksburg. Oprowadza nas po nim sympatyczna starsza pani. Poświęca nam sporo uwagi, zaskoczona tym, że właśnie przed chwilą, nieco spóźniony, zjawił się przedstawiciel Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego Niemiec Demokratycznych z wizytami gośćdzikami i mową powitalną. Krępuje już nas ta serdeczność, wiążąc się z „protokółem”, wolelibyśmy być zwykłymi turystami. Ale cóż! Trzeba robić poważną minę, na mowę odpowiadać mową i potem polskim zwyczajem przekazywać kwiaty naszej opiekunce. Marga Zirm zrewanżuje nam się niemieckim „danke”, a my pozabawieni troski o wizytanki możemy już podziwiać tylko to piękno, które tu się zachowało we wczorajszym kształcie, tak jakby czas zatrzymał się w miejscu.

nich dróg w województwie. Długość dróg, którymi kursują autobusy PKS, sięga prawie sześciu tysięcy kilometrów, na 763 liniach „Stary” i „Jelcze” odbywają codziennie 475 kursów. Każdego dnia autobusy przemierzają 145 000 kilometrów, to znaczy prawie 3,6 raza tyle, ile liczy obwód Ziemi. Warto dodać, że od ubiegłego roku liczba linii wzrosła o 70. W ten sposób autobusy docierają już do wszystkich większych i znacznej ilości małych wsi (nie mówiąc o miastach), stanowiąc dla nich często jedyny bezpośredni łącznik z resztą województwa i krajem. O dobrej organizacji pracy świadczy chociażby fakt, że przy uruchomieniu owych 70 nowych linii wprowadzono do eksploatacji tylko 6 dodatkowych autobusów. Co znowu wcale nie znaczy, że PKS jest zdolna podjąć olbrzymiemu zapotrzebowaniu na nowe linie, kursy, miejsca w autobusach.

Już jednak i teraz można by powiedzieć o dyrektorze lubelskiej PKS, Zygmuncie Rutkowskim, że dysponuje całą „armią” pracowników. Jest ich wszak — kierowców i ich pomocników, pracowników stacji obsługi oraz pracowników administracyjnych — siedem tysięcy! Samych tylko kierowców „osobowych” zatrudnia przedsiębiorstwo prawie tysiąc dwustu...

A skoro już mowa o kierowcach, to i miejsce na sprawę skarg i zażaleń, jakie wpływają od podróżnych, bo wszak na trasie przede wszystkim kierowca reprezentuje przedsiębiorstwo i on ma największą styczność z pasażerami. Największa liczba skarg dotyczy niezabierania na przystankach osób posiadających

bilety miesięczne i motywacji kierowcy, że autobus jest już przepelniony. Z drugiej jednak strony badania prowadzone przez WP PKS wykazały, że wnoszący skargę w większości wypadków posiadali bilety na inne godziny, toteż ich pretensje były nieuzasadnione. Bardzo skrupulatnie rozpatrywane są skargi dotyczące oszustw przy sprzedaży biletów — pobierania przez kierowców normalnej opłaty przy wystawianiu biletu na krótszą trasę lub w ogóle niewydawania biletu. Zdarczą się nawet wypadki nakładania wysiadających pasażerów do oddania biletu, a następnie ponownego sprzedawania go. Faktem jest jednak również, że spora liczba osób jeździ „na gapę” — o co przy przepelnionym autobusie i jednoosobowej załodze nie trudno — i w wypadku przyłapania przez kontrolerów owi „gapowicze” twierdzą, że to właśnie kierowca nie wydał im biletu.

Wiele skarg wynika z niezrozumienia lub z nieznajomości przepisu mówiącego, że za sprzedaż biletu w autobusie — w miejscowości, gdzie istnieje kasa biletowa — kierowca pobiera dodatkową opłatę w wysokości dwóch złotych. Pomimo znikomej — wydawałoby się — sumy, właśnie w tym przypadku dochodzi często do długotrwałych sprzeczek, a czasem i większych awantur. Często potencjalny pasażer składa skargę, że autobus nie zatrzymał się na przystanku, podczas gdy widział, iż w wozie znajduje się jeszcze kilka wolnych miejsc. Nie wie, że miejsca te zarezerwowane były dla posiadaczy biletów miesięcznych, którzy mieli właśnie kilka kilometrów dalej. Oczywiście opinia publiczna zostaje najczęściej i najsilniej poruszona ebulganskimi wybry-

kami niektórych kierowców wobec pasażerów, szczególnie ludzi starszych — zresztą opeły takich właśnie wypadków — trafiają zwykle na łamy gazet — ale tutaj władze PKS stosują szczególnie ostre środki wobec winnych i — trzeba przyznać — liczba skarg podobnej treści w ostatnich czasach znacznie się zmniejszyła. Jeżeli zdecydujemy się operować samymi tylko liczbami, to podczas, gdy w roku 1963 wpłynęło 393 skarg i zażaleń (jedna na 101 tys. podróży), to w 1965 r. liczba ta zmalała do 222, a staje się jeszcze mniejsza, gdy się weźmie pod uwagę, że jedna skarga wypadła na prawie 320 tys. pasażerów.

Tak czy inaczej faktem jest jednak, że przedsiębiorstwo ma z kierowcami niemało kłopotów. Przede wszystkim z powodu znacznej płynności kadr. Praca kierowcy autobusowego jest ciężka i odpowiedzialna, przebiega z dala od domu, jest nerwowa, a ciągły kontakt ze zmieniającą się bez przerwy masą ludzką, z ludźmi wyprawdzanymi w pewnym sensie z równowagi duchowej już przez sam fakt podróowania — wymaga wielkiego poczucia taktu i opanowania. Wprawdzie zarobki są niezłe — przeciętnie ponad 3 tys. zł miesięcznie — ale też biorąc pod uwagę zgodne z rozkładem jazdy „postoje” na stacjach docelowych, okres pobytu kierowcy poza domem przeciąga się nierzadko do 14 godzin. To sprawia, że starsi kierowcy chętnie zmieniają pracę jeśli się nadarzy po temu okazja, zaś „tulacze” życie młodszych bywa nieraz przyczyną poważnych konfliktów małżeńskich.

W pamięci pracowników WP PKS zachowała się sprawa kierowcy-wiarolomcy, który przez dłuższy czas

oszukiwał żonę, że nie wraca na noc do domu bo... ciągle wypadają mu „dalekie kursy”. Żona potrafiła znaleźć jednak drogę do zwierzchników męża i przy pomocy otrzymanego schematu wyjazdów udowodniła mu zdradę. W dawniejszych latach dochodziło do awantur z powodu „kodyfikacyjnych” kwater — dla kierowcy i konduktorki — jakie, zdarzało się, zalatwiali co oszczędniejsi pracownicy niektórych placówek terenowych. Dzisiaj takie sprawy należą już do przeszłości, a harmonogram wyjazdów jest tak opracowany, aby kierowca mieszkający np. w Hrubieszowie ostatni kurs kończył właśnie w tym mieście. Przeciwna wieku kierowców jest stosunkowo niska, często są to ludzie dopiero wstępujący w życie, co — jak się rzekło — przy znacznej płynności kadrowej nastręcza kierownictwu wielu problemów jeśli chodzi o pracę wychowawczą.

Lubelszczyzna przoduje w liczbie krytych przystanków autobusowych. Podczas gdy w 1965 r. na 1 482 miejsca oznaczone okrągłą, żółtą tablicą „PKS”, przypadają jedynie 102 budki chroniące oczekujących na autobus przed wiatrem czy deszczem, w roku bieżącym połowa z istniejących dwóch tysięcy przystanków będzie wyposażona w takie właśnie „obiekty”. Kryte przystanki kosztowały niebagatelną sumę 8 milionów złotych, a połowa z nich powstała przy wydatnej pomocy gromadzkich rad narodowych, które przyjmują na siebie 50 proc. kosztów budowy. Nakłady na samą konserwację już istniejących przystanków też są duże — ponad 2 miliony zł rocznie. Na skutek wandalizmu

miejscowych wyrostków w krótkim czasie na wielu przystankach uległy zniszczeniu estetyczne ścianki ze zbrojonego szkła, a procent przyłapanych „na gorącym uczynku” jest znikomym. Najmniej chwalebny koniec miały wybryki pewnego chuligana spod Garbowa, który tak się „przykładał” do demolowania przystanku, że w wybitej w szkło dziurze uwieźla mu ręką. Uwolnił go z „pulpki” dopiero przejeżdżający patrol milicji. Być może, zapoczątkowana przez hrubieszowski hufiec ZHP akcja ochrony przystanków przez harcerzy da pozytywne rezultaty, ale będzie musiała ona iść w parze z odpowiednią postawą większości całego społeczeństwa.

Na zakończenie sprawa dotycząca pośrednio tragicznego wypadku w Cmiłowie. Wypadki — powiadają mi w dyrekcji PKS — zdarzają się i z pewnością zdarzać się będą, choćby na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa. Chodzi jednak o to, aby możliwość ich ograniczyć do minimum. Dość skrupulatnie liczy się wypadki drogowe, ale mało kto poświęca czas na liczenie i zagrożenie, powodujących te wypadki. PKS postanowił opracować wykaz niebezpiecznych miejsc na drogach Lubelszczyzny i będzie zabiegał u odpowiednich władz o ich likwidację. Choć rzecz to zasadniczo leżąca w kompetencjach innych instytucji, przecież od odpowiednich warunków na trasie zależy — oby zawsze niezmiętna! — codziennosc PKS-u.

Mirosław Derecki

**N**A początku 1968 roku do Komendy Powiatowej MO w Bełżycach napłynęły informacje, że przy skupie tytoniu popełniane są jakiegoś nadużycia. Stacja skupu dla powiatu mieści się w samej Wytwórni w Lublinie, w Bełżycach jest tylko punkt, do którego w oznaczone dni przyjeżdżają inspektorzy plantacji i Lubelskiej Wytwórni Tytoniu Przemysłowego. Informacje były bardzo mgliste, ale już po dwóch tygodniach zaczęła się tworzyć lista osób jeszcze nie podejrzanych, lecz takich, którym należało przyrzeć się bliżej. Wstępne śledztwo toczyło się ostrożnie, aby nie spłoszyć nikogo.

8 marca jedną z osób, której nazwisko figurowało na liście, popiła sobie tego w jednej z bełżyckich gospód i zaczęła nieco rozrabiać. Oczywiście zjawił się milicjant, pijanego wylegitymował i zabrał do komendy. W jego portfelu znaleziono 8372,50 zł, które — jak zatrzymany wyznał po wytrzeźwieniu — miał przekazać pracowniczce punktu skupu. I tak na cienkiej nitce podejrzeń zawiązał się pierwszy supełek. Potem już coraz szybciej tworzyły się następne. Wiele było trudu z ich rozwiązywaniem, ale ostatecznie wszystko ułożyło się w logiczną i przejrzystą całość.

To jest właśnie ta druga sprawa tytoniowa zwana lubelską, chociaż odkryto ją w Bełżycach i w części na terenie tego powiatu się rozwijała. Jest to największa z trzech spraw. Po wielu tygodniach pracy biegli orzekli, że 8 zasiadających dziś na ławie oskarżonych osób zagarnęło w sumie 881 678,25 zł, z czego 39 tys. w czasie kampanii 1966/67, resztę w następnej. Ta właśnie następna była rekordowa — tytoń wspaniale obrodził i w województwie zamiast planowanych 17,5 tys. ton skupiono 25 tys. ton liści. Pracy rzeczywiście było dużo, aparat skupu jak i magazyny nie były odpowiednio przygotowane, wydawało się więc, że okoliczności szczególnie sprzyjają przestępcom.

Tu znowu — jak w sprawie lubartowskiej — trzeba wyjaśnić, że gdy ktoś doda kwoty, których współzagrarnięcie przypisano poszczególnym osobom w akcie oskarżenia, otrzyma rzeczywiste dużą sumę — 2463 tys. zł. Ale znowu to samo — pewne kwoty lub ich części powtarzają się w różnych układach, zależnie od tego, w jakich powiązaniach personalnych aktualnie „pracowano”.

Wśród ośmiu oskarżonych w „sprawie lubelskiej” jest znowu dwóch inżynierów-rolników, pięciu techników i jedna osoba o niepełnym wykształceniu średnim, ale po długim kursie specjalistycznym, który wystarczał jej do sprawowania funkcji instruktora plantacji. Z wyjątkiem jednego czterdziestolatka wszyscy mają od 51 do 60 lat. Znowu ludzie dojrzały, doświadczeni, mający dorosłe dzieci, dotychczas nie karani, część z nich to właściciele domków czy działek budowlanych.

Jak wynika z materiałów śledczych i dotychczasowego przewodu sądowego, główną sprężyną całej grupy przestępczej była jedyna występująca w trzech sprawach kobieta, pełniąca funkcję instruktora plantatorów. To jej akt oskarżenia zarzuca pobranie od plantatorów za fikcyjne dostawy, „wygospodarowanie” uprzednio dzięki opisanym już machinacjom aż 723 136,98 zł. Podczas rewizji w jej lubelskim mieszkaniu znaleziono m. in. dwie koperty, białą i niebieską, w każdej po 30 tys. zł, widocznie przycoto-

wane do przekazania współnikom. Aresztowano ją następnego dnia w punkcie skupu w Bełżycach — znowu miała przy sobie 24 122 zł, pobrane właśnie od plantatorów za identyczne machinacje.

Krająca po Lublinie plotka twierdziła, że w LWTP prowadzono podwójną księgowość, że działała jakaś mafia, która swoimi maczkami objęła całą niemal zalogę od góry do dołu. A tymczasem podczas rewizji u owej oskarżonej znaleziono zwykły zeszyt szkolny, w którym najpierw zapisywała ona owe „nadwyżkowe” i „dopisane” kilogramy, a potem pobrane od plantatorów sumy — i dość często albo nazwiska tych plantatorów, albo współników przestępstwa.

Przy okazji jednak warto zwrócić uwagę na fakt, który powinien stać się przestrożą dla dyrekcji wszystkich przedsiębiorstw i insty-

dem jeden ze świadków zeznał, że gdy proponował jakąś plantatorce, która zgodziła się firmować fikcyjne dostawy, ta sama oskarżona zadawała mu pytanie: „Czy jest to kobieta uczciwa, to znaczy czy zwróci pieniądze za dopisany jej tytoń?” A gdy kiedyś współnik-plantator przyjechał nie o umówionej godzinie i trafił na inną pracowniczkę, która nie nie dopisała i nie skłasyfikowała dostarczonego tytoniu w zwykłej klasie, oskarżona odpowiedziała krótko a dobitnie: „Dlatego wyszedł taki skandal”. Rzeczywiście skandal!

Przy czytaniu ponad 20 tomów akt sądowych zadziwił mnie jeszcze jeden fakt. Okazuje się, że ludzie, którzy w związku z toczącym się śledztwem lub procesem znaleźli się w tymczasowym areszcie, bliżej wszelkie rekordy zachorowań. Mimo że więzieniu posiada własnego wy-

w wysokości od półtora roku więzienia i 4 tys. grzywny do 6 lat więzienia, 25 tys. grzywny i 4 lat pozbawienia praw publicznych. Na mocy zeszlorzecznej ustawy o amnestii w stosunku do trzech osób sprawy umorzono, jednej karę darowano, a pozostałym dwunastu skazanym zmniejszono kary więzienia łącznie do 27 lat i 4 miesięcy, pozostawiając w całości grzywny w sumie 152 tys. zł i i odszkodowania.

Chciałbym poruszyć jeszcze jedno delikatne zagadnienie. Otóż we wszystkich trzech sprawach tytoniowych było zamieszanych co najmniej 445 plantatorów. Prawda, że to tylko pół procenta ogółu plantatorów. Ale wystarczająco dużo, aby się nad tym zastanowić od strony moralnej, zwłaszcza, że część z nich to mężowie zaufania. Otóż zgodnie z zeszlorzeczną amnestią śledztwo przeciwko wszystkim umorzono, bo

myslowego dokonano szeregu zmian personalnych na stanowiskach kierowniczych, m. in. zmieniono całą dyrekcję. Jednym z przejawów nowej dyscypliny jest fakt, że obecnie interesant, udający się do biur LWTP, nie wejdzie bez otrzymania przepustki — co zresztą dawniej też obowiązywało, ale nie było przestrzegane. Doświadczylem tego sam na sobie. Zastępca dyrektora do spraw kontratacji i upraw mgr inż. Roman Praczyński nie następujących odpowiedzi na poniższe pytania:

— Co uczyniono, aby uniemożliwić powstawanie nadwyżek liści tytoniowych przez praktykowane poprzednio zaokrąglanie wagi do pełnych kilogramów?

— Już w czasie kampanii wykupu w roku 1968/69 stosowano nową instrukcję. Poza uregulowaniem kilku mniej ważnych spraw wprowadziła ona dwie zasadnicze zmiany: 1) zaokrąglania wagi mogą być stosowane wobec każdego plantatora tylko przy ostatnim odważeniu jego końcowej dostawy, 2) każda partia odważonych liści stanowi oddzielną belę, zaopatrzoną w kartę obiegową, którą wystawia odbierający te liście ekspert, a także w oddzielną nalepkę z numerem ewidencyjnym magazynu stacji wykupu, dzięki czemu aż do chwili poddania liści procesowi fermentacji można ustalić, kto te liście dostarczył, gdzie i kiedy, oraz kto je z naszego ramienia przyjmował. Tak więc odpowiedzialność pracownika nie rozplynie się w masie, jak poprzednio, ale w każdej chwili będzie możliwa do skontrolowania. Sądzą, że te zmiany eliminują możliwość tworzenia się nadwyżek lub ubytków surowca w stacjach wykupu.

— Chyba jednak nie wystarczy samo wprowadzenie nowej instrukcji?

— Oczywiście. W ostatnich dwóch kampaniach zarówno Zjednoczenie Przemysłu Tytoniowego jak i nasza Wytwórnia przeprowadziły wiele kontroli w stacjach wykupu. Na ich podstawie opracowywaliśmy szereg konkretnych wniosków, które wprowadzono w życie. Zarówno sprawy nadużyć jak i nowych przepisów były omawiane na naradach służb plantacyjnych. W jednej z tych narad uczestniczyli przedstawiciele MO.

— Jedną z możliwości powstawania nadwyżek liści, potem ponownie sprzedawanych państwu, było to, że magazyny fermentowni nie były zbyt odseparowane od magazynów stacji wykupu, mieszczących się w tych samych budynkach...

— W obu fermentowniach, lubelskiej i krasnostawskiej, magazyny te zostały dokładnie oddzielone. A liście tytoniowe, nadsyłane w belach ze stacji wykupu, są poddawane komisyjnej kontroli zarówno jeśli chodzi o wagę, jak i zakwalifikowanie do odpowiedniej klasy jakościowej.

— A co z plantatorami, zamierzającymi w owe trze sprawy?

— Wytwórnia nie posiada wykazu tych plantatorów, nie może więc wyeliminować ich z dalszej uprawy tytoniu.

Niestety, ostatnia odpowiedź nie trafiała mi do przekonania. Nazwiska i adresy tych plantatorów Wytwórnia może uzyskać bez żadnych kłopotów w IV Wydziale Karnym Sądu Wojewódzkiego. Co również przekazują do wiadomości Związku Plantatorów Tytoniu, gdyż o ile te jednostki powinny tę sprawę zająć wspólnie.

## Prawda o trzech procesach tytoniowych (2)

# Czar „brudasów”

Jerzy Dostatni

tucji. Oto niemal wszyscy oskarżeni mieli w swoich mieszkaniach puste blankiety różnych oficjalnych druków — umów, zleceń, kart obiegowych itp., nawet po kilkanaście bloczków. Co więcej — również pieczątki, rekordzista miał ich nawet 16! Czy już tego samego faktu nie należy interpretować jako potencjalnej możliwości popełnienia nadużyć?

Najwięcej pieniędzy znaleziono w mieszkaniu pewnego technika: 183 tys. zł rozdzielone na 4 partie i ukryte w weckach pod małżeńskim łóżkiem. W innych miejscach razem 111 dolarów, nie mówiąc o 4 książeczkach PKO z wkładami na łączną sumę 25 693 zł. U tego rekordzisty pieczętek też znaleziono 44 dolary, kilka książeczek PKO z mizernymi wkładami po 5 zł i jedną z 500 zł, ale także: telewizor „Tesla”, radio „Beethoven”, pianino, lodówkę jagosłowiańską, serwis kryształowy i — aż wstyd wspomnieć — takie drobiazgi, jak froterka, odkurzacz czy magnetofon. A w garażu nowa „Syrrena”, spalana co miesiąc ratami po 1 500 zł. Wszystko z pensji 2 750 zł na miesiąc plus 10 proc. premii — na całą rodzinę.

A jak przedziwne poglądy na elementarne sprawy mają niektórzy ludzie, niech świadczy przykład owej oskarżonej, rekordzistki w inkasowaniu oszukańczych należności. Siedząc w areszcie napisze pewnego dnia prośbę do Sądu Wojewódzkiego, aby zezwolił zdjąć plombę z telewizora, bo „9-letnie dziecko od 6 lat jest przyzwyczajone do tej rozrywki i teraz stroni od domu”. No tak — jeżeli stanie się chuliganem to nie dlatego że matka kradła i oszukiwała, ale dlatego, że dziecko nie obejrzy Jacka i Agatki (a może Teatru Sensacji?), bo państwo zabezpieczyło swoje straty m. in. na tym właśnie telewizorze... Przed są-

soko kwalifikowanego lekarza, że przez tego lekarza w każdej chwili można uzyskać wszelkie badania specjalistyczne i odpowiednią pomoc w laboratoriach, szpitalach czy klinikach — w każdym tomie co kilkanaście kartek widnieje jakieś podanie: o dodatkowe badanie, o wzięcie świadectwa choroby przebytej ileś lat wcześniej, o skierowanie do jeszcze jednego specjalisty, o dostarczenie jakichś wymyślnych leków, znowu o dodatkowe badanie i tak w kółko.

Sąd jest cierpliwy i wyrozumiały. Odpowiada zawsze, najczęściej się godzi, odmawia tylko wtedy, gdy z zaświadczenia lekarza więziennego wynika niedwuznacznie, że to symulacja. Nie jestem pewien, czy chodzi tu tylko o urozmaicenie więziennego żywota, czy próbę wyrobienia sobie jakiejś taryfy ulgowej podczas rozprawy sądowej.

I jeszcze kilka słów o pominiętej dotychczas sprawie zwierzyńcekiej. Objęła ona największą, bo złożoną z 18 osób grupę oskarżonych, która oprócz Zwierzynca działała także w stacjach wykupu w Zamościu, Bilgoraju i Tarnobrodzie. Mechanizm działania identyczny jak w dwóch poprzednich przypadkach, zmiany zeznań i oświadczenia podobne. Tu w sumie chodzi o — jak stwierdzili eksperci — 714 854 zł. Na rozprawę wezwano 34 świadków, odczytano zaś zeznania 75. Po 25 posiedzeniach Sąd Wojewódzki ogłosił — jeszcze nieprawomocne — wyroki. Wszyscy oskarżeni zostali uznani winnymi zarzucanych im przestępstw. Sąd jednak stanął na stanowisku, że nie wszystkie zarzuty zostały udowodnione i w rezultacie skazał oskarżonych na zwrocie Lubelskiej Wytwórni Tytoniu Przemysłowego sumy 303 140 zł, wyznaczając górne granice dla poszczególnych skazanych. Ponadto Sąd wymierzył kary

w wypadku skazania kara nie przekroczyły granicy wymiaru, nie podlegającego już darowaniu.

Wydać mi się jednak, że w tej konkretnej sprawie trzeba spojrzeć nieco inaczej. Wprawdzie prawie wszyscy twierdzili w śledztwie lub przed sądem, że w chwili dopisywania im fikcyjnych dostaw nie orientowali się w machinacjach i dopiero później w domu wylczyli sobie, że według kwitów dostarczali więcej niż w rzeczywistości, ale przecież potem oddawali pieniądze pracownikom stacji wykupu i trudno przypuścić, aby nie wiedzieli, iż chodzi tu o jakiegoś oszustwo.

Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi w czasie rozprawy sądowej: „Może bym i oddał pieniądze nawet wtedy, gdybym się sam nie zorientował, że mi faktycznie dopisano”, „Jak mógł bez porozumienia ze mną dopisać taką ilość? Gdyby się do mnie zwrócił przedtem, to mógłbym się zgodzić, ale nie na taką ilość (70 kg — przyp. J. D.), najwyżej na 20—30 kg”. „Najpierw chciałem się zaprzeć, dopiero żona i syn...”. Jak widać, dosyć dziwaczne poczucie uczciwości, które jakoś często kończyło się przed okienkiem do kasy.

Ustawa o amnestii obowiązuje nas wszystkich. Ale nie mogą zgodzić się z tym, że 445 plantatorów, współuczestników przestępstw, nie ponosi żadnej, absolutnie żadnej konsekwencji. Mam prawo nie tylko ja przyspuszczać, że niektórzy z nich — obym się myli! — będą usiłowali nawiązać „kontakty” z niektórymi nowymi pracownikami stacji wykupu. I dlatego wydaje mi się, że Związek Plantatorów Tytoniu powinien wykluczyć tych ludzi ze swego grona.

W wyniku wykrytych nadużyć w Lubelskiej Wytwórni Tytoniu Prze-

# LEON KRUCZKOWSKI

Dokończenie ze str. 1

zółkle już wycinki, natrafiłem na kilka ciekawostek, dotyczących „Litartu” i ówczesnego Kruczkowskiego-poety. Tak np. Bolesław Pochmarski pisał w „N. Reformie” z 23 maja 1926 r.: „dobrze zapowiadają się Janusz Stępowski, Adam Polewka, Witold Zechenter, Leon Kruczkowski, a na polu krytyki przede wszystkim Jarosław Janowski, zaś Tadeusz Łopolewski w „Kurierze Wileńskim” z 19 września w tymże roku: Wiersze technicznie zupełnie opanowane, świadczące o nieprzeciętnych talentach poetyckich (np. Jerzego Brauna, Witolda Zechentera, Leona Kruczkowskiego), mocno jeszcze przesłanknięte są romantyzmem. Nie twierdzą, że to jest wada, tylko stwierdzam cechę.

Jako poeta występował też Kruczkowski publicznie, właśnie na imprezach, organizowanych przez „Litart” i to nie tylko w Krakowie, ale i w innych miastach. W mych zbiorach napotkałem wiele afiszów z ówczesnych imprez, w których to imprezach brałem udział — wśród tych afiszów kilka zawiera też na-

zwisko Kruczkowskiego: oto 13 listopada 1926 r. w sali kina „Nowość” w Będzinie odbyła się *Rewia poetów koła „Litart”* (Kraków) z udziałem Jerzego Brauna, Leona Kruczkowskiego, Janusza Stępowskiego i Witolda Zechentera. W programie: 1) *Literatura a społeczeństwo*, 2) *Człowiek dzisiejszy i człowiek jutro*, 3) *Legenda proletariatu*, 4) *Oskarżam...*, 5) *Antykwiariat dogmatów*, 6) *Gdzie człowiek współczesny?* Widać z tego afisza jakie tematy poruszaliśmy w wierszach — a ponadto, o czym mówił Kruczkowski.

Nie lubił on bowiem występować publicznie jako poeta. Zazwyczaj, gdy organizowaliśmy wspólne wieczory autorski, w którym przewidywane były jedynie wiersze, Kruczkowski prosił jakiegoś recytatora o odczytanie jego utworów. Natomiast występował osobliwie, gdy program wieczoru — jak ten będzinowski — przewidywał również publicystykę. Mówił dobrze, wyraziście, chociaż matowo, spokojnie, trochę bezbarwnie. Większą wagę w jego wystąpieniach miała ich treść niż wykonanie.

A potem afisze warszawskie z r. 1926, jeden zapowiadający na 17 listopada *wieczór autorski poetów kruczkowskiego „Litartu”*, zgrupowanych koło „Gazety Literackiej”:

Jerzy Braun, Leon Kruczkowski, Adam Polewka, Janusz Stępowski, Witold Zechenter — ze współudziałem art. M. Balcerkiewiczówny i H. Buczyńskiej, który to wieczór odbył się w Polskim Klubie Literackim, działającym wtedy w „Polonii”, a drugi, zapowiadający w tym samym składzie osobowym występ w III audytorium Uniwersytetu Warszawskiego na dzień 22 listopada. Inny afisz zapowiada na dzień 13 listopada 1926 roku w sali Kopernika UJ *Zbiorowy wieczór autorski: Jerzy Braun, Leon Kruczkowski, Tadeusz Kudliński, Józef Labuz, Jerzy St. Polaczek, Adam Polewka, Marian Sewi, Janusz Stępowski, Witold Zechenter*. W końcu ostatni przedwojenny afisz — zarazem afisz ostatni przed wojną „Dni Krakowa”, zapowiadający trzecią kolejną z tej okazji urządzoną rewiję poetów w sali Kopernika UJ: słowo wstępne Zygmunta Leśnodorskiego i udział pisarzy: Marji Morstin-Górskiej, Ludwika Hieronima Morstina, Tadeusza Kudlińskiego, Leona Kruczkowskiego i mój. Ten wieczór literacki pamiętam bardzo dokładnie — na jego zakończenie przemówił do przepelnionej sali Leśnodorski, życząc, byśmy wszyscy spotkali się tu za rok, na następnych „Dniach Krakowa” i by czarne chmury, zbierające się nad Polską, szczęśliwie zostały rozegnane...

Nie spotkaliśmy się wtedy za rok. Pamiętam, jak żegnaliśmy się po wieczorze, jakoś inaczej, niż po wielu innych, poprzednich — jak byśmy coś przeczuwali, jak byśmy wiedzieli, że czarne chmury nie zostaną rozegnane. Spotkałem się z Leonem Kruczkowskim dopiero na wiosnę 1945 roku.

Ale zatrzymując się jeszcze przy tych najdawniejszych wspomnieniach, tych jeszcze przedwojennych, z pełnej naszej młodości, chciałbym odpowiednio osadzić postać młodego Kruczkowskiego w moim tamtejszym świecie. Przyjaźnił się on specjalnie z Adamem Polewką, a ja znowu specjalnie z tymże niezapomnianym Adamem również przyjaźniłem się najbliżej i najwięcej z nim przebywałem. Niejeden raz spotykaliśmy się więc we trójkę: Leon, Adam i ja, czasem był jeszcze ktoś czwarty, tym czwartym często był malarz Henryk Gollib i tak razem wędrowaliśmy i gadał. Wędrowaliśmy — chyba z Leonem niewiele, bo chociaż Polewka, a ja też, byliśmy zwolennikami spacerów i dalekich nieraz wypadów „za miasto”. Leon odnosił się do takiego leniwa niechętnie. Nie pamiętam go na żadnej naszej wyprawie nad Rudawę, do Łasku Wołoskiego, nawet nie widzę go na jakiejś lawce na plantach, gdzie godzinami nieraz przegadaliśmy z Polewką cały świat, wszystkie zagadnienia literackie i polityczne... Kruczkowski nie lubił chodzenia, wykpiwał „perypatetyczność” — jak to nazywał — Polewki, wołał siedzieć w zacisznym pokoju, także nie w kawiarni, chociaż kawiarnie odgrywały wielką rolę w życiu lite-

rackim przedwojennego Krakowa zwłaszcza „Esplanada” i „Michalik”, potem, ostatnie lata przed wojną, kawiarnia Plastyków przy Łobzowskiej. Tam jedynie widzę z rzadka Leona — w innych kawiarniach nie umyślam go sobie we wspomnieniu.

Lubił dyskutować, ale na siedząco i nie w publicznym lokalu. Śmiało się z typków kawiarnianych, obłożonych gazetami, nie lubił zadymionej, dusznej atmosfery. Nie lubił też przesiadywania na „tonie przyrody”, bodaj w „Sidlach” wykpił krakowskie Błonia i odpoczywających tam „mieszczuchów”, uważał za bezmyślność i brak umiejętności zorganizowania sobie wypoczynku takie przesiadywanie na laweczce czy na trawce, zamiast stworzyć sobie odpoczynek wartościowy, polachony z jakąś myślą i przeżyciem. Pamiętam, że na ten temat nieraz nacierał na Leona do dalekich przechadzek, do błon, do plant.

Dostawnie porwał mnie w objęcia, gdy wiosną 1945 roku wpadliśmy na siebie po latach wojennej grozy i rozpaczy — było to na schodach gmachu redakcyjnego w Krakowie przy ulicy Wielopole 1, pracowałem tam wtedy w redakcji współzałożonego przeze mnie zarządka Wywoleni Krakowa „Dziennika Polskiego” — zbiegłem po schodach do zecerni, a w górę siedzi powoli Leon. Nim zdążyłem słowo wyomówić, ucałował się czy adziwił.

# Współczesna poezja narodów kaukaskich

Nowe spolszczenia Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

Waan Terian

\* \* \*

Co zostało  
Drżaj w moim życiu srogim?  
Z biednym sercem to samo się stało,  
Co z tym krajem nieszczęść i pożogi.

Co zostało?  
Nocę długie i okrutne.  
W sercu moim — popiół tylko, żalność,  
Jam — jak ty, ojczyzno moja smutna.

Nairi Zarian

## Rodzinny dom

W sennych marzeniach nieraz nocą ciemną  
Rodzinny dom przede mną się otwierał:  
Dzieciństwa niebo jaśniało nade mną,  
Blaskiem majowym jaśniał niebios sfera.

Przy mnie siedziała matka, jak bywało,  
I po ormiańsku coś strumień belkotał,  
I drzewo pieśni mi słotej śpiewało  
W wiosennych liściach leśnych dygotach.

A cienki promień wślizgując się oknem  
Złotym swym kluczem życie mi otwierał,  
Patrzyło słońce macierzyńskim okiem,  
Świat wielki się do ojców domu wdzierał.

Geworg Emin

\* \* \*

Słów krótszych niżli „nie” i „tak”  
Nie znajdziesz, choćbyś przeszedł świat,  
Ale gdy trzeba „tak” powiedzieć  
Lub odparować ostro „nie”,  
To czasem dla tej odpowiedzi  
Nie starczą wszystkie życia dni.

Owanes Sziraz

## Pieśń młodości

W oczach mych jaśnieją blaski dni wiosennych,  
Ku wyżynom szczęścia kroczę śmiało wzwyż!  
Po kamieniach, skałach wspinam się wciąż wzwyż,  
Po przepastnych stopniach wznoszę się wciąż wzwyż,  
Po urwistych drogach zawsze wzwyż!

Szczęście od gwiazd dalej, nie mnie z nóg nie zwałi,  
Młody jestem! Zaden mi nie straszny wróg...  
Nie dostrzegam skał pośród moich dróg,  
Nie dostrzegam gór pośród moich dróg,  
Głazów ni otchłani pośród moich dróg.

Burza górą kroczy. Blask oślepił oczy.  
Kto odpowie mi, czy jest śmierć, czy nie?  
Ja nie znając strachu pnę się śmiało wzwyż,  
Ja nie wierząc w zgubę pnę się śmiało wzwyż,  
Nieśmiertelny, nieulekły pnę się wzwyż!

W oczach mych jaśnieje zawsze blask błękitu,  
Lecz bym doszedł wreszcie do swojego szczytu,  
Ile jeszcze skał przewyżczył mam,  
Ile jeszcze gór przewyżczył mam,  
Ile dróg przepastnych przewyżczył mam!

Nabi Chazri

## Jeleni

Kiedyś się włożył w zaroślach,  
Wpatrzony w zieloną ich jasność,  
Tyś wyszedł,  
Tyś coś usłyszał  
I szję wyciągnął laciata...  
I po coś mnie musiał zobaczyć  
I jeszcze uraził nadto?

Nie lękaj się, poczekaj,  
Zaraz cię uspokoję,  
Zbliź się do mnie, jeleniu.  
Masz marynarkę moją?  
Pewno zmarzłeś, jeleniu?  
Troskliwie i nieufnie  
Obnosisz swą urodę,  
Rogami strącając z liści  
Mieniącą się w słońcu wodę.  
Łazisz po mokrym lesie  
Od rana do nocy w cieniu.  
Odejdź od dębu wreszcie!  
Czy słyszysz mię, jeleniu?  
Chcę wody tam poszukać,  
Gdzie pijeś ty, jeleniu...  
Ja ciebie nie oszukam.  
Nie wierzysz mi, jeleniu?  
Jeśli burza ci grozi,  
Ja burzę wnet odeprę.  
Łzę w oku twym dostrzegę,  
Ostrożnie ci ją zetnę.  
Dlaczego więc uciekasz?  
Nie wierzysz mi, jeleniu?  
Jam nie myśliwy, czekaj...  
Ech jeleniu, jeleniu!

## Świadek

Spotkali się... Blask księżycowy.  
Rzekł: „Zawsze będę kochał cię!”  
Kinę się na kindżał mój stalowy,  
Na świadka błogę księżyc!”

Rozeszli się... Park wysrebrzony.  
Rzekł innej: „Kochać wciąż cię będę!”  
I księżyc, świadek zaostydzony,  
Pośpiesznie skrył się za chmur zrzębem.

## Do twarzy

Słońce dokoła wiosnę słow!  
I w wodzie się iskrami jarzy.  
Strumień do twarzy jest szczytowi.  
Szczyt strumieniowi jest do twarzy.

Wysoko tam topola nurza  
Koronę swoją w nieb pustkowi.  
W listowiu jest do twarzy górze,  
Górze do twarzy jest w listowiu.

Kruk się na skałę nie sadowi,  
Lil orzeł na niej ślady śmiało.  
Skała do twarzy jest orłowi,  
A orzeł jest do twarzy skałom.

Kajsyn Kulijew

\* \* \*

Gdzieś tam jęczy kobieta w oddali,  
Śpiewa do snu dziecku kołysankę.  
Wieczny strach i wszystkie ziemi żale  
Przenikają smutną kołysankę.

Pierwsza kula w jakiegokolwiek wojnie  
Serce matki przebija boleśnie  
I ktokolwiek krwią się zbroczy hojnie,  
Serce matki to czuje boleśnie.

\* \* \*

Co dzień droga trudniejsza na świecie  
I ścigając cele nieodgadłe,  
Byłem nieraz ogniem, byłem mieczem,  
Byłem młotem, byłem i kowadłem.

Byłem zwierzem, co przez las się skrada.  
Byłem strzelcem. I kim-em ja nie byłem!  
Byłem ptakiem w klatce i sam ptaka  
Wypuszczałem często z klatki w niebo.

Im jest dziksz kraj, im większy ciężar,  
Tym się bardziej szlak przez życie gmatwa.  
Tylko ślepiec w myślach wszystko zwęza,  
Dla widzących — sądzi — wszystko łatwe.

\* \* \*

Czasem i tury z siły opadają  
W górach potężnych, co sięgają niebios.  
Czasem i rzeki szumne wysychają  
I las pioruny ogniem swoim trzebią.

Nas także życie tu nie tylko grzeje,  
Ale piorunem też nieszczęścia parzy.  
Tylko się nie klnie wtedy, lecz mądrzej  
Przyjmując wszystko, czym nas życie darzy.

Michał Kwiliwidze

## Po deszczu

Dzień już wywalczył swoje prawa  
Ścierając deszczu pasma kose  
I zapachniała młoda trawo  
Jak świeżo po umyciu włosów.

Grzmot się oddalał za przełęczą  
Wciąż starczo pokaszując jeszcze.  
A las ucztował, śpiewał, brzęczał —  
to znaczy drzewo,  
ptaki,  
świerzcze.

## Nad morzem

Uwielbiam szum morza, gdy wsłucham się weń na  
pustkowi,  
gdzie ani cząsteczki nie zwierzy nikomu swej duszy  
i nie po aktorsku,  
lecz w głuszy,  
w zataiel, w ustroniu  
skupione z powagą o troskach samotnych swych huczy.

I jak nie podziwiać tych ciężko myślących grzywaczy,  
gdy jasna jest dla mnie ich istnieć niezdolność.  
Jak cieszy mnie fakt ten, że śmiechem swym ani też  
placzem  
przed nikim nie pragnie pochwalić się śmiało.

## Z nie wysłanego listu

Jak krople pluszczą polyskując mile!  
To tylko ciało me po Moskwie kroczy.  
A dusza moja tam, w Kartli, w tej chwili  
samotna okrzyk wydaje ochoczy.

Tam, gdzie brzoskwinie,  
brzoskwinie,  
brzoskwinie,  
gdzie ziemia pachnie i świat w słońcu lśni się,  
gdzie pszczoła miod spijając z słupków chciwie  
u migdałowych, białych kwiatów wiśi.

Jam wciąż jednak, jak i w dawnych latach,  
stwierza na mnie nie liczy się wcale.  
Lecz dusza moja stąd w góry wylata  
witając z krzykiem kartalińskie dale.

WAAN TERIAN (1882-1920) — klasyk poezji ormiańskiej.

NAIRI ZARIAN ur. 1920 — poeta ormiański.

GEWORG EMIN — poeta ormiański, ur. w r. 1919. Pierwszą zbiorek „Przed drogą” ukazał się w r. 1940. Wiele jego książek przetłumaczono na język rosyjski i inne języki narodów radzieckich.

OWANES SZIRAZ — poeta ormiański ur. w r. 1914. Autor wierszy o wojnie i miłości. Pisze też wiersze refleksyjne.

NABI CHAZRI — poeta azerbajdżański, ur. w r. 1924 pod Baku. Drukuje od r. 1944. Wydał ok. 30 zbiorów wierszy i poematów w azerbajdżańskim, rosyjskim i in. językach narodów radzieckich.

KAJSYN KULIJEW — współczesny poeta bałkarski. Wiersze wyjęte z książki „Zraniony kamień”, za którą autor otrzymał w r. 1966 Państwową Nagrodę RFSFR im. M. Gorkiego.

MICHAŁ KWILIWIDZE — poeta gruziński. Autor siedmiu zbiorów. Kilkę jego książek przetłumaczono na język rosyjski. Zbiorek „Tobie, ukochana”, ukazał się po ułosku w Mediolanie w r. 1961.

porwał mnie w objęcia, wołając że to niezwykle, że żyję... Okazało się potem w rozmowie, że do obozu, w którym Leon przebywał podczas wojny, doszła wiadomość o śmierci Zechentera. Kruczkowski już mnie oplakał, stąd jego zdziwienie i radość, gdy nagle ujrzał mnie pedzającego schodami redakcji. Pogłoska o mej śmierci spowodowana była zapewne faktem kilkakrotnego mego uwięzienia podczas okupacji, a zresztą w wielu wypadkach ja też spotykałem po wojnie, nieraz w wiele lat po niej, znajomych, o których dawno byłem już przekonany, że nie żyją, gdyż taka wiadomość do mnie doszła.

Widywaliśmy się wtedy wielokrotnie w Krakowie, jakże bujnie szumiącym odrodzonym życiem po tych latach okupacyjnej martwoty i udręki. Pamiętam kilka takich rozmów w lokalu Związku Literatów Polskich — z Polewką, z Czachowskim, pamiętam, jak koniec wojny świętowaliśmy razem w gmachu Polskiego Radia, wtedy jeszcze przy ul. Wróblewskiego — spotkanie kilkudziesięciu ludzi ze świata krakowskiej kultury i sztuki, zaproszonych przez dyrekcję radia, rozpoczęło się wieczorem, ale trwało do białego rana, nie można było bowiem wyjść w nocy na ulicę, huczącą od wystrzałów na wiat, na kres wojennych zmagani, na zwycięstwo. Przysiadłem się do Leona, rozmawiającego w jakimś ustronnym kąciaku w jednym z pokojów radiowych z Kazimierzem Wyką — wiedziałem już, że jedzie do Warszawy, że „Warszawa zabiera nam Kruczkowskiego”, tak się to wtedy nazywało.

Nie był tym zachwycony, był bardzo przywiązany do Krakowa. Przed wojną przez kilka lat pracował w Zagłębiu Dąbrowskim, mieszkał w Sosnowcu, ale nie było miesiaca, by nie wyrwał się do Krakowa, nie wpadł chociaż na dzień do mieszkania rodzicielskiego przy Małym Rynku, w starej, zabytkowej kamieniczce. Nawet z zagranicznego pobytu — na rok czy dwa przed wojną przebywał przez kilka miesięcy na terenach polskiej emigracji zarobkowej w Niemczech i Belgii, pisał powieść na ten temat potem po powrocie — a więc nawet z takiego zagranicznego pobytu dosyć się do Krakowa pospieszył, a ponieważ znacznie przyspieszony powrót wydarzył się uprzednio naszemu wspólnemu przyjacielowi, Adamowi Polewce, z Francji — ukulem nawet wtedy fraszke, której nie pamiętam już dokładnie, ale znana była w naszych przyjacielskich kołach — o tym, jak to komuniści nie mogą wytrzymać bez Polski, chociaż w Polsce trudno im wytrzymać...

Kruczkowski nie był chyba oficjalnie członkiem KPP, jak inni moi przyjaciele tamtejszych lat — Polewka, Łabuz, Czuchnowski — ale występował zawsze ramie w ramie z nimi, i z Wojtkiem Skuzą także, z Lechem Piwowarem — ilekroć była jakaś okazja, manifestował swą przynależność do lewicy i to do tej właśnie.

Ale był już wtedy sławny — „Kordianem i chłamek” (ten tytuł wymyślił mu Polewka) uzyskał od razu tę sławę, jakiej przez lata przedtem wcale nie mógł osiągnąć

jako poeta, jako autor szczupłego i prawie przez krytykę nie zauważonego tomiku „Młoty nad światem”. Czy ta sława zmieniła go — jego zachowanie się, jego stosunek do kolegów? Ani na jotę, Kruczkowski był „równy chłop”, tak właśnie o nim mówiliśmy, nie zadzierał nosa, pozostawał zawsze taki sam i taki sam był wobec dawnych kolegów, przyjaciół, znajomych i potem, po wojnie, gdy zasiadał na ministerialnym fotelu, gdy spotykały go nagrody, zaszczyty, odznaczenia, sława, jaka wyszła daleko poza granice Polski. Nieczęsto widywałem go, gdy osiadł w Warszawie, gdy był wiceministrem kultury i sztuki, gdy dostępował tych nagród, odznaczeń, zaszczytów — nie było okazji do takich widowań się, a chociaż nie jeden raz w jakiejś rozmowie w Krakowie z powodu jakiejś tam sprawy mówiono do mnie: „Jedź do Kruczkowskiego, znasz go przecież dobrze, on to na pewno zrobi dla ciebie” — nigdy jakoś nie używałem dróg osobistych dawnych znajomości. Zupełnie przypadkowo sam Leon „nawinał” mi się przy pewnej okazji.

Było to w 1957 roku, Kruczkowski przyjeżdżał wtedy często do Krakowa, cierpiał na jakieś laryngologiczne przypadłości i leczył się u świętego specjalisty i czarującego, dobrego człowieka — prof. Miodońskiego. Jechałem w jakiejś sprawie do Warszawy i w wagonie sypialnym, jeszcze nim pojął ruszył, na korytarzu spotkałem się z Leonem. Jakoś z rozmowy wynikało, że mam pretensję do Ministerstwa Kultury i Sztuki, „Motyka — powiedziałem — (był wtedy w Krakowie i sekre-

tarzem KW) oświadczył mi, że dostalem stypendium na wyjazd do Paryża, a Ministerstwo odmówiło mi dewiz na tej podstawie, że byłem niedawno we Francji z wycieczką”. Kruczkowski był oburzony — „co ma piernek do wiatraka — powiedział — raz przyznali dewizy, to musza dać, a to nikogo nie obchodzi, że ktoś pojechał sobie prywatnie przedtem do tego samego kraju”. Nie prosiłem wcale, by zainterweniował, sam powiedział, że zaraz rano zadzwoni gdzie trzeba, w południe mam się zgłosić do ministerstwa.

Nie bardzo wierzyłem — nie Leonowi, bo wiedziałem, że nie rzuca słów, nie obiecuje, wiedząc, że nie spełni. Ale nie przypuszczałem, że w przeciagu tak krótkiego czasu zdąży się określić ministerialne tryby. Poszedłem jednak w południe — z miejsca dostalem wszystkie potrzebne papiery do wykupna dewiz, do kupna biletu za złotówki, bo i paszport był gotowy, który uprzednio pocięli się przez kilka miesięcy. Tak więc raz tylko skorzastałem z nieproszonej protekcji Leona, ale przekonałem się, jak bardzo była skuteczna.

O tym, że Kruczkowski wielu ludziom pomagał, że spieszył z pomocą tam, gdzie widział potrzebę pomocy, słusność sprawy, krzywdę czyją — wiedziałem od dawna. Nie zawsze rozumiałem jego postępowanie, dwa razy w ciągu tych długich lat znajomości pokłóciłem się z nim — ale wiedziałem, że zawsze motorem jego postępowania była pobudka prawa, uczciwa, leżąca w

granicach jego najlepszej woli i najlepszego zrozumienia.

Cóż można by dodać do tej garsteczki wspomnień — kilku wspomnień z długich lat znajomości? Chyba to, że Kruczkowski rysuje mi się dzisiaj, gdy od kilku lat nie ma go już wśród nas, jako postać bardzo dodatnia: prawy, szczerzy, skromny, słowny. Oto określenia, jakie same się nasuwają. I widzę go takim wyraźnie: i wtedy, przed tyłoma laty, gdy byliśmy młodzi, i potem już po wojnie, gdy narastały lata przeżyte, i ostatnio już, gdy właściwie staliśmy u progu starzenia się — zawsze był podobny do siebie, jakby te lata nie, czy mało w nim zmieniły: budy, matowy, spokojny, o miłym uśmiechu, którego rzadko używał. Gdy patrzę na stare fotografie i widzę go na tle przedwojennego Krakowa, gdy widzę go we wspomnieniu w pokoju redakcyjnym naszej młodzieżowej „Gazety Literackiej”, na wieczorze autorskim naszego młodego, walczącego „Litartu” — nie chce mi się wierzyć, że to tak dawno już spadło w przeszłość, że już całkiem tego nie ma poza wspomnieniem i poza wieloma napisami nagrobnymi. A wśród nich i jego imię i nazwisko.

Witold Zechenter

Powyższe wspomnienie ukazało się w znacznie obszerniejszym kształcie w książce wspomnień o Leonie Kruczkowskim, przygotowywanej obecnie przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”.

# MINISTER ZABRONIŁ

Dokończenie ze str. 1

Walczącej się i jednocześnie rozmawiając z innymi obywatelami, budując sobie obraz sprawy widzianą z różnych stron. Fabryka mebli w Zwierzyńcu, dziś przedsiębiorstwo państwowe, istnieje bez mała od 100 lat. Zakład nr 1 w Zwierzyńcu produkuje wyłącznie krzesła i zatrudnia około 600 osób, z czego ponad czterysta pracuje bezpośrednio przy produkcji. (W Biłgoraju mieści się zakład nr 2, wytwarzający szafy, szafki, kufry, itd., zatrudniający ok. 200 osób). To, że w Zwierzyńcu robi się tylko krzesła (obecnie około 10 rodzajów), sprawia, że zakład jest wysoko wyspecjalizowany, a więc w efekcie wyrobę jego mają dobrą, ustaloną markę jakości.

— Dziś wszyscy w czymś się specjalizują — mówi redaktor z Warszawy. — Wasza załoga to pewnie chłopo-robotnicy, bo tu rejon rolniczy, pracę w zakładzie traktują jako uzupełnienie dochodów z roli, no i poza tym nie ma tych tradycji robotniczych, że się szanuje pracę i produkt, dba o opinię klienta.

— O, przepraszam, tradycje mamy bardzo stare, synowie dziedziczyli zawód po ojcach i dziadkach — występuje w obronie imienia załogi I sekretarz KZ PZPR, Jan Godzisz. — Nasza fabryka już przed wojną sprzedawała dużo swoich wyrobów za granicę. Po wojnie eksport rozwinął się, w latach 1963-64 wynosił 63 proc. produkcji. Nigdy nie było żadnych reklamacji zagranicznych kontrahentów. Teraz eksportujemy 15-17 proc. naszej produkcji. Procent towarów na eksport zmalał, gdyż naszymi zadaniami eksportowymi obdarzono częściowo nowe powstałe fabryki. Inni też muszą zarobić. Ale pretensji żaden zagraniczny kupiec nigdy do nas nie miał. Teraz rozpoczynamy wytworzenie krzesel stylizowanych na za- bytkowe. Zamówili je kupcy z USA i Kanady.

W roku 1967, gdy zakład przeszedł modernizację, Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego przeniosło do niego z fabryki w Kozienicach produkcję krzesel typu „200-125”. W czerwcu tegoż roku zrobili w Zwierzyńcu 1 029 takich krzesel, w lipcu 1 715, w sierpniu już 4 658, do końca grudnia łącznie 48 079. Plan na rok 1970 przewidywał wyprodukowanie 121 750 krzesel, częściowo dla Centrali Handlu Meblami, częściowo dla fabryki mebli w Kozienicach (woj. kieleckie) i Strzyżowie (woj. rzeszowski), które zwierzynieckie krzesła biorą do wyrobienia przez siebie kompletów, czyli sprzedają jako swoje, ze swoją „metką”. Krzesła robione są w trzech gatunkach i z obiciami w 20 kolorach. Przewidywana cena jednej sztuki w detalu wynosi około 500 zł. Zakład nr 1 miał w roku 1971 wyprodukować 297 750 krzesel różnych gatunków. Typ „200-125” to 40 proc. wartości całej produkcji. Przy produkcji tych krzesel pracuje 200 osób, plus administracja, transport itd. A co teraz? Magazyny fabryki, świetlice i wazelki możliwe pomieszczenia zapełnione, leży w nich ponad 15 tys. sztuk. Jeszcze dzień — dwa i nie będzie gdzie składować produkcji. Tymczasem, skoro sprzedawać nie wolno, odbioru nie ma, poza Kozienicami i Strzyżowem. A produkować trzeba, przynajmniej wyprodukować krzesła z tych elementów, które są już przyszykowane. Tego też jest na kilkanaście tysięcy sztuk. No i co dalej?

Notuję to wszystko, coraz lepiej rozumiem zdenerowanie ludzi, z którymi rozmawiałem w sekretariacie. Fabryka Mebli jest tu największym pracodawcą. Lecz przecież

**minister nie wydał swego zarządzenia dla zrobienia robotnikom krzywdy,**

tylko dla ochrony interesów nabywców w całej Polsce, bo typ „200-125” sprzedawany jest we wszystkich województwach (na eksport ten typ nie idzie).

Oto fragment oceny z pisma ministra:

...nie spełnia wymagań określonych w obowiązującej normie, a to szczególności:

- ma luźno naciągniętą meblową tkaninę dekoracyjną,
- zaciemnia lakieru na częściach lakierowanych,
- małą wytrzymałość konstrukcji na obciążenie użytkowe (często są reklamacje na niedostateczną wytrzymałość produktu), co powoduje, że co 30 proc. sztuk mebli nie odpowiada jakości deklarowanej przez producenta.

Minister zabronił sprzedawać. Produkować nie mogli zabronić, bo to nie jego resort. Zarządzenie w tej sprawie wydało więc Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego w Poznaniu: zrobić tylko tyle nowych krzesel, do ilu macie przygotowane elementy. Koniec. I słusznie. Jak trzeba było, Zjednoczenie chwaliło. Na ścianach gabinetu dyrektora wieszają dyplomy za wyniki uzyskiwane przez Zwierzyńiec w ogólnokrajowym współzawodnictwie zakładów przemysłu mebli giętych. Rok 1960 — 1 miejsce w I kwartale, 1964 — 1 miejsce w I kw. i 2 miejsce w II kw. 1965 — 2 miejsce w I półroczu. Jak trzeba karać, to karać.

— Jeśli ktoś produkuje buble, niech ponosi konsekwencje, ale my uzyskujemy przecież dobre wyniki — tłumaczy dyrektor. — Przecież dopuszczają, by nabywca reklamował do 34 proc. naszej produkcji. Tymczasem w roku 1969 uznano reklamacje 1,68 proc. krzesel „200-125”. Czyli mniej niż połowa dopuszczalnej normy braków.

— Z tymi reklamacjami — dodaje kierownik kontroli wewnętrznej Michał Oryszczak — to jest tak: hurtownik ma prawo reklamować całą partię towaru, jeśli choćby w kilku egzemplarzach stwierdził wady. Wtedy my albo zgadzamy się na obniżenie ceny całości, albo jedzie nazw pracownik, ogląda sztukę po sztuce i wspólnie z handlowcami uznają, które są bez zarzutu, a które mają mniejszą wartość. Są wojewódzkie przedsiębiorstwa handlu meblami, które z igły robia widły i byle nieprawidłowości rodmuchują. Jak mogą. Należy do nich WPHM w Krakowie (reklamowało 26 proc. otrzymanych krzesel). W roku 1968 zareklamowano 18 partii towaru; z czego 7 reklamacji dotyczyło Kraków. W roku 1969 zgłoszono 24 reklamacje, z czego 11 z Krakowa.

Wzrost liczby reklamacji nie świadczy o wzroście liczby odrzuconych krzesel, bo każda reklamacja może dotyczyć innej wielkości wysłanego towaru. Kraków robi też najwięcej przecen. Są województwa, które niemal nie reklamują nigdy. Na uparte, to każde krzesło można odrzucić — wystarczy by rozstaw pomiędzy zakończeniem nóg różnił się o 6 mm od normy. Cóż to jest 6 mm? Krzesło to nie zegarek.

**Takie jest zdanie kierownictwa zakładu. Słucham i notuję.**

Reklamacje dotyczą głównie wad w tapicerce, w mniejszym stopniu nierówności lakieru i niewytrzymałości konstrukcji. Kierownik Oryszczak mówi, że waży 121 kg, w domu ma tylko krzesła „200-125”, wytrzymały ciężar jego osoby bez żadnych chęci, może wybrać z magazynu dowolne krzesło, on na nim usiądzie i jeszcze tego niedowiarka weźmie na kolana. Krzesło nie złamie się. Rozlecieć też się nie rozleci, gdyż jest sklejane i skręcane na śruby. Z lakierem to inna sprawa. Przy lakierowaniu pistoletem pewnych nierówności nie sposób się ustrzec. Kierownik przyznaje się jednak do wad tapicerki. Część krzesel wykładana jest moltoprenem, sprawdzanym z Danii i NRF. Siedzi się na nim miękko, jest higieniczny, ale trudny do obciążenia, więc czasem już w produkcji, lub po krótkim używaniu, tkanina na pokryciu przetręca się i handlowcy czy klienci zgłaszają pretensje. Za to nie ma żadnych narzekania na krzesła wyściełane polską mikrognomą, bo ona idealnie trzyma kształt, choć jest mniej higieniczna.



Michał Oryszczak, kierownik kontroli wewnętrznej: „w domu mam tylko krzesła typu „200-125” i wytrzymały ciężar mojej osoby bez najmniejszych szkód, a waży 121 kg; niedowiarków może wsiąść na kolana i też konstrukcja nie ulepi...”

Lecz mniejsza o szczegóły. W Zwierzyńcu — sumując wywody kierownictwa — uważają, że zakład skrzywdzono. Wolno im mieć 3,4 proc. reklamacji. Mieli 1,68 proc. na typie „200-125” i wycofano go. Przeciętnie zakład miał 2,88 proc. reklamacji, czyli inne typy mebli miały wyższy procent od tej przeciętnej, skoro „200-125” ma niższy. I tamtych nikt nie rusza, tylko ten. Czyżby dlatego, że w I kwartale 1970 r. reklamacje typu „200-125” przekroczyły 4 proc. (znów ten Kraków)? Ale to przecież nie oznacza, że przekroczy normę w skali rocznej! W I kwartale mieli wyjątkowo kiepski surowiec, ale teraz już jest lepszy. Wszedł też w życie program poprawy jakości produkcji, opracowany w styczniu przy udziale całej załogi i zatwierdzony przez władze wyższe fabryki. Następne kwartały na pewno przyczyniłyby się do spadku przeciętnej rocznej procentu reklamacji poniżej dopuszczalnej normy.

Nikt mnie o adwokatowanie nie prosił. Pytam jednak, czy wysoki procent reklamacji z Krakowa nie wynika z tego, że tamtejsze WPHM ma najlepszą kontrolę wewnętrzną? Znaczna część ich reklamacji jest przecież aprobowana przez producenta.

**I czy minister nie miał prawa przestraszyć się.**

że gdy w I kwartale reklamacje przekroczyły 4 proc. produkcji, to w innych, gdy robotniko-chłopi zajmą się pracami w polu, lub potem, pod koniec roku, gdy w pośpiechu będą nadrabiać plan, procent jeszcze wzrośnie?

— Ministrowi wolno podejmować takie decyzje, jakie uzna za stosowne dla interesu publicznego — wtrąca sekretarz Godzisz. — 9 maja był w Zamościu wicedyrektor Centrali Handlu Meblami, Ostrowski o naszych przedstawicielach, że z produkcją „200-125” siedziemy na bezce prochu. I 9 maja minister podjął decyzję. Po pięciu dniach przekazyaliśmy o tym w gazecie. Dopiero teraz zjeżdżają do nas komisje i kontrole.

14 maja przedstawiciel CHM przywiózł do Zwierzyńca kilka krzesel „200-125” zakwestionowanych przez rzeczoznawców i wysłanych do analizy do centralnego laboratorium meblarskiego a potem pokazanych ministrowi. Na nogach tych krzesel wypisana jest negatywna ocena komisji rzeczoznawców i są ich podpisy. Krzesła te mają istotnie słabą konstrukcję. Te krzesła dyrektor Kosmała przechowuje w swej kasie pancernej jak największy skarb. Nie zrobiono ich bowiem w Zwierzyńcu! Różną się od zwierzynieckich, niezauważalnie dla laika, ale wyraźnie dla fachowca. Inaczej montowane, nieco innych rozmiarów niż te, na które ustawione są tutejsze linie produkcyjne. Krzesła typu „200-125” wytwarzane są przez kilka fabryk. W Zwierzyńcu uważają więc, że albo nastąpiło jakies pomieszanie eksponatów w laboratorium, albo ktoś po prostu „podrzucił im świnię”, aby oddalić kłopoty od siebie.

Tyle dowiedziałem się w czasie swej wizyty w zakładzie. Wstawiam „200-125” z pewnym zadowoleniem, bo jednak po dłuższym siedzeniu nie było ono najwygodniejsze, już bardziej mi odpowiada zwykłe drewniane krzesło w miejscowej restauracji, też zresztą zwierzyniecki wyrób.

**Potem próbowałem zasięgnąć opinii handlowców.**

Z hurtownikami nie powiodło mi się. Dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Meblami w Lublinie uparcie wzmawiał mi, bym w tej sprawie zasięgnął zdania zainteresowanych osób w wyższych instancjach, gdyż głos władz wojewódzkich jest najważniejszy. Nie pomagało moje tłumaczenie, że chcę poznać jego zdanie jako specjalisty.

Z detalistami poszło lepiej. Kierowniczka największego sklepu z meblami przy ul. Szopena, największego w województwie, Anna Karpiska, miała o typie „200-125” ze Zwierzyńca bardzo korzystną opinię. Klienci poszukują go. Kupują go do saloników, gdyż może uchodzić za skromny fotel, a kosztuje dużo mniej od najtańszych foteli. Mniej jest na niego reklamacji, niż na inne typy. Wprawdzie któregoś dnia ekspedientka (filigranowej budowy), siadła i „200-125” rozleciało się pod nią, ale to był wyjątkowy przypadek. Opinie klientów nie poznałem, gdyż interesujące nas krzesła nie są eksponowane.

W kilka dni później rozmawiałem telefonicznie z dyrektorem Kosmałą. Głos miał dużo pogodniejszy. Starania fabryki przyniosły pierwsze rezultaty. Centrala Handlu Meblami zgodziła się poprzeć wniosek do ministra handlu wewnętrznego o uchylenie jego decyzji — pod warunkiem, że typ „200-125” będzie produkowany w nieco innym wariantcie: z dwuczęściową tapicerką, to znaczy poduszka pod siedzenie osobno, a na oparciu osobno. Będzie to można łatwiej pokryć i obciągnąć równomiernie tkaniną pokrywową. Wygoda siedzenia pozostanie taka sama, estetyka też, może tylko trochę mniej będzie to wyglądało niż fotel.

Jeszcze kilka dni i rozmowa z dyrektorem naczelnym fabryki w Zwierzyńcu, Jerzym Zagalą,

**przyniosła mi nowe wiadomości.**

Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego postanowiło wystąpić do ministra Leśnictwa i Przemysłu Leśnego, by ten wrócił się do ministra Handlu Wewnętrznego o dopuszczenie na rynek krzesel „200-125/War” — czyli nowego wariantu. Będą miały one dwuczęściową tapicerkę, a pod siedzeniem sprężyny zamiast taśmy, a zamiast moltoprenu — 4-centymetrową warstwę szczytyny nasyconej mleczkiem lateksowym lub warstwę mikrognomy, na nich zaś centymetrową warstwę moltoprenu. Będą więc lepsze, trwałe, higieniczniejsze i... o 50-70 zł tańsze na sztuce, bo szczytyna lateksowa jest tańsza od moltoprenu. I będzie ich więcej, bo jeśli są tańsze, zakład musi dać większą produkcję, żeby wykonać plan. A w ogóle to ten typ zostanie pewnie już w przyszłym roku zastąpiony innym, nowocześniejszym.

Gdy byłem w Zwierzyńcu, wszyscy moi rozmówcy twierdzili, że decyzja ministra była dla nich zaskoczeniem. Gdy rozmawiałem z nimi z dyrektorami przez telefon, mieli już w perspektywie podjęcie produkcji, więc nie poruszali sprawy swej krzywdy rzekomej czy rzeczywistej. Nie jestem specjalistą od krzesel. Muszę jednak zauważyć, że walka o interesy klienta, nawet jeśli prowadzi się ją trochę na wyrost, przynosić może szybkie i konkretne rezultaty.

Romuald Wiśniewski

# Zbiory specjalne Biblioteki UMCS

Artur Iskrzycki

**B**IBLIOTEKI uniwersyteckie gromadzą oprócz książek i czasopism również dokumenty do dziejów nauki i kultury, nazywane zbiorami specjalnymi. Dawnie określano w ten sposób rękopisy, inkunabuły, starodruki, ikonografie, mapy i nuty. W wieku XX — w wyniku rozwoju nauki i techniki — poszerzył się znacznie zakres bibliotecznych zbiorów specjalnych. Obecnie liczy się do nich także grafiki użytkowe, mikrofilmy, fotografie, płyty, taśmy magnetofonowe i dokumenty życia społecznego.

Zbiory specjalne Biblioteki UMCS w Lublinie powiększają się nieustannie dzięki egzemplarzom obywatelskiego współzawodnictwa wydawnictw polskich oraz przez zakupy antykwaryjne, wymiennie międzybiblioteczną i dary.

Wśród rękopisów zasługują na szczególną uwagę tzw. ceremonialne dworskie dla panującego, napisane w języku francuskim w r. 1688 na pergaminie. Ma on postać książki, a posiada cztery cenne i piękne miniatury oraz zdobiony jest inicjałami barwnymi i słocznymi. Oprawa późniejsza wykonana jest ze skóry, na której wytłoczono ornament roślinny złożony i superekskluzywny.

Najstarszym rękopisem w języku polskim jest przekład Statutu Wielkiego Księstwa Litewskiego, dokonany pod koniec XVI wieku. Rękopis polski, litewski i niemiecki z XVII i XVIII wieku dotyczy szkolnictwa, gospodarki, filozofii, teologii i historii m. in. dzieł drukarstwa lubelskiego i rodziny Firlejów. Najliczniej reprezentowany jest wiek XIX: są tu pamiętniki, dzienniki podróży, notatki, listy, szkice naukowe, nuty, korespondencja oraz prace i artykuły naukowe, a wśród nich cenna rozprawa Józefa Malsbicha o torfie pt. „Zdanie o ziemi spaliłej” i spina lekarza urzędowego z r. 1888 „O wodach mineralno-żelaznych w Szworku pod Lublinem”. Obfita korespondencja z XIX i XX wieku zawiera m. in. listy Stanisława Brzozowskiego, Cezarego Jędrzejki, Marii Konopnickiej, Z. I. Kraszewskiego, Wacława Natkowskiego, Zofii Natkowskiej, Władysława Orkana, Henryka Sienkiewicza, Klemensa Stanisława Junoszy. W dziele rękopisów znajdują się także materiały dotyczące Lubelskiego Towarzystwa Sierzenia Oświaty „Światło” oraz autografy wierszy Franciszka Armatyńskiego, Józefa Czechowicza i Wincentego Pola.

Zbiory ikonograficzne w bibliotece naukowej mają obecnie inny charakter. Co prawda stare biblioteki posiadały nadal gabinety rycin, w których gromadzono oryginalną grafikę i rysunki. Jednakże teraz przedmiotem zainteresowania stał się przede wszystkim wydrukowany obraz. Biblioteki w Lublinie gromadzą przede wszystkim nowy rodzaj dokumentów, określany umownie nazwą grafiki użytkowej, a mianowicie reprodukcje dzieł sztuki, plakaty, pocztówki, portrety i druki artystyczne. Ponadto gromadzą ekslibrisy, albumy, fotografie i mikrofilmy. Materiały te stanowią źródła do dziejów kultury i techniki.



Karta rękopisu z 1688 r.

Biblioteka UMCS posiada w swoich zbiorach liczne ekslibrisy, poczynając od XVIII wieku, i wydawnictwa bibliofilskie z ekslibrisami. Cenną kolekcją stanowi plakaty, a wśród nich unikatowy egzemplarz o wywazie higienicznej w Lublinie w 1888 r. i bogate rękodzielniczo plakaty Kiełtner-Bajkowskiego, Zofii Natkowskiej, Wacława Natkowskiego oraz plakaty z okresu PKWN. Duży jest zestaw plakatów międzywojennych i wojennych. Ponadto gromadzone posiadłości rycin i fotografie z wieków Lublina i województwa XIX w. i XX-wieczna. Bogato reprezentowane są albumy polskie i dwuczęściowe dzieła sztuki, portrety i druki artystyczne. Biblioteka posiada także bogaty wytwór plastyczny w Polsce: monumentalne organowe w Polsce Lublowskiej, Na uwagę zasługują również księgozbiory podręczny z zakresu historii sztuki, w którym gromadzono dzieła sztuki i obce, zarówno dawne jak i najnowsze.

Dokończenie na str. 19

12 książek  
za 120 złotych

## Gorąco polecamy „Bibliotekę Poetów”

Wszystkim zwolennikom poezji polecamy zaprenumerowanie nowej serii wydawniczej pt. „Biblioteka Poetów”. Jej wydawcami są: Zarząd Główny ZMW, redakcja „Nowej Wsi”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i Powszechna Księgarnia Wyszłkowa. Co miesiąc ukazuje się jeden tomik na ładnym papierze z estetyczną okładką, portretem i biografią poety, a także obszernym wstępem wybitnych znawców. W pierwszym półroczu ukazały się tomiki: Anny Achmatowej, Adama Asnyka, Ernesta Brylla, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Jana Kochanowskiego i Jana Bolesława Ojoga, w drugim półroczu ukazały się: Charles Baudelaire'a, Jana Brzękowskiego, Johanna Wolfganga Goethego, Gyula Illyesa, Jana Kasprowicza i Mariana Plechała.

Przenumerata półroczna wynosi 60 zł, roczna 120. Pieniądze należy wpłacać na konto Powszechnej Księgarni Wyszłkowej, Warszawa 1, ul. Nowolipie 4, konto PKO — Warszawa, nr 153-6-900021. Książki, które nie ukazały się w normalnej sprzedaży, będą dostarczane poezją bez jakiegokolwiek kosztów dodatkowych.

Kamena str. 8





# Mikołaja Wołkowyckiego przypadki

W SIERPNIU 1965 r. odbył się pierwszy ogólnopolski plener białowieski, który okazał się momentem zwrotnym dla białostockiej plastyki, dynamizującym misję dotąd słabą. Do Białowieży zaczęli zjeżdżać się malarze różnych orientacji, niezadko wybitni, przez kilkanaście dni trwała konfrontacja odmiennych postaw artystycznych, powstawały obrazy mniej lub bardziej wyraźnie inspirowane specyficznym krajobrazem, jego naturalną dynamiką, jego naturalną ciszą, jego prawdą. Część prac zatrzymał Białystok, planujący otwarcie galerii współczesnego malarstwa polskiego. Plener wielostronnie wzbogacił miejscowe środowisko, zbliżył je do centrów artystycznych kraju.

Animatorem pierwszych plenerów był Mikołaj Wołkowycki — rzeźbiarz, lecz przede wszystkim malarz, twórca dużych, świetlistych obrazów, nabrałszy biologiczną niemal witalność, domagających się ważnego miejsca w scenarii nieokreślonych, magicznych obrzędów. Wołkowycki wykonał najtrudniejszą, pionierską robotę, związaną z uruchomieniem wielkiej imprezy artystycznej, pozbawionej lokalnych precedensów, a tym samym organizacyjnych wzorców, sprofilowanych lokalnymi możliwościami. Wołkowycki zrobił swoje i za sprawą środowiskowych układów towarzyszy obecnie plenerom tylko jako kierownik białostockiego BWA, urządzającego finałowe wystawy białowieskich spotkań. Trudno powiedzieć, czy impreza na tym zyskała, czy straciła. Jedno jest pewne: ogólnopolskie plenery w Białowieży traktowane są dziś przez krajową opinię artystyczną jako co najwyżej drugorzędne; podobnych wymienia się kilkanaście. Wołkowycki jest człowiekiem energicznym, o dużym temperamencie i nietuzinkowych uzdolnieniach organizacyjnych, posiadającym przy tym własne zdanie, którego potrafi bronić. To drażni, to musi drażnić, jak każda odrębność, indywidualność. Na początku 1965 r. jeden z najciekawszych malarzy białostockich, Stefan Rybi, urządził we własnej pracowni koleżeńską, można powiedzieć, galerię. Razem z Jerzym Lengiewiczem i... Mikołajem Wołkowyckim. Pokazują w niej własne prace, nie zamykają „Bramy” przed kolegami ze Związku, sprządzają wystawy najwybitniejszych artystów. Ich galeria wzbudza powszechne zainteresowanie, prezentowana jest przez prasę centralną, telewizję, przez periodyki społeczno-kulturalne. Wszyscy biją brawo — poza częścią środowiska, którą coś w ambicje kole... Przez dwa i pół roku ta trójka z własnej kieszeni finansowała działalność galerii. Kiedy wy-

czepali prywatne środki, zaczęli kolatać do różnych potencjalnych mecenasów. Jak dotąd, bezskutecznie. Może dlatego, że stworzyli rzecz o wartości niewymiernej... Pod koniec ubiegłego roku Zarząd Główny ZPAP prosi Związek białostocki o wytypowanie pięciu malarzy na międzynarodową wystawę... w Paryżu! Ponieważ mity paryskie wcale u nas nie słabną — może to zresztą nie są mity — rozgorączkowały się kilkudziesięciosobowe środowisko malarzy białostockich, szybko zwołując plenarne posiedzenie Zarządu Okręgu. W tajnym głosowaniu wytypowano owe pięć osób; zainteresowani Paryżem też tajnie głosowali, zapewne — znając ludzką bezinteresowność — nie na siebie samych. Wołkowycki, nie będąc w Zarządzie musiał przepaść. Przy ustalaniu reprezentacji pominięto malarza, którego charakter pisma obrazowego nie znajduje krajowych analogii, laureata nagrody na jednym z ogólnopolskich festiwali polskiego malarstwa współczesnego w Szczecinie... Decyzją Zarządu Głównego Wołkowycki wziął jednak udział w wystawie w Paryżu, gromadzącej 436 prac z kilkudziesięciu państw. Grupa białostockich artystów przyniosła złoty medal, a reprodukcja obrazu Wołkowyckiego znalazła się w katalogu wystawy. Od pewnego czasu malarz ten pracuje w odosobnieniu. Jego ostatnie obrazy dowodzą, że stan ten nie osłabił możliwości twórczych współorganizatora życia plastycznego w Białymstoku: są to prace głęboko refleksyjne, wymykające się z kręgów utartych klasyfikacji, przekonujące o całkowitej dojrzałości artystycznej ich autora... Z właściwą sobie energią i rozmachem kieruje też Wołkowycki, jak dawniej, Biurem Wystaw Artystycznych... A więc wszystko w porządku, normalnie? Na to pytanie powinno odpowiedzieć — przede wszystkim sobie — środowisko białostockie. IJK

## z bocznej trybuny

# Kolarze i sprawozdawcy

Z WYCIĘSTWO Polaków w tegorocznym Wyścigu Pokoju było tak bezapelacyjne, że uprawiało w stan euforii nie tylko tych, którzy kibicują kolarstwu na co dzień, ale nawet ludzi na ogół zupełnie nie interesujących się sportem. W dodatku nasi reprezentanci zwyciężali błyskotliwie, od pierwszego etapu. Gdy wyścig był w swej głównej fazie, dokonali sztuki niezwykłej, rozdzielając pomiędzy sobą trzy pierwsze miejsca na mecie w Poznaniu. Trzeba jednak stwierdzić, że o ile tegoroczny wyścig był pasjonujący, o tyle sprawozdania prasowe, radiowe, telewizyjne, znacznie mniej ciekawe niż w latach poprzednich. W relacji re-

porterów sukcesy Polaków wyglądały tak, jak gdyby przyszły im bez większego trudu. Czasem — jak gdyby w ogóle nie mieli przeciwników. Słyszeliśmy tylko i czytali głównie o tym, co robił Hanusik, Szurkowski, Czechowski i pozostali członkowie polskiej drużyny. Niewiele słyszeliśmy o innych. Dopiero pod koniec wyścigu, gdy Francuz Duchemin zaczął wyraźnie grać drugie skrzydło, a nawet zagrażał Szurkowskiemu, oczy sprawozdawców skierowały się trochę i na niego. Znacząco kolarstwa od początku było wiadomo, że Duchemin to wielka klasa, nadzieja na przyszłe sukcesy w sporcie zawodowym. Gdyby miał do pomocy takich silnych kolegów jak Szurkowski, zwycięstwo naszego reprezentanta nie byłoby wcale tak pewne. A przecież było tylu innych, w tym czterech zwycięzców z lat poprzednich. Wyścig ma swoją tradycję. Ma nazwiska, do których przywykliśmy, które obrosły już legendą. I jeśli te nazwiska znajdowały się na tegorocznym liście startowej, nie można było ich nie zauważyć, czy też ledwo, ledwo dostrzegać. Kibicom wolno wpadać w szal radości. Sprawozdawca prasowy, nawet ciesząc się najbardziej sukcesami drużyny, której kibicuje, musi przy tym zachować trzeźwość rozumowania, musi widzieć wszystko i wszystkich. Sajdużyn, reprezentant ZSRR, z egzotycznej dla nas narodowości tatarskiej, triumfator wyścigu z roku 1962, był wielkim faworytem imprezy w roku ubiegłym. Tuż przed wyścigiem, w ciągu tygodnia, stracił oboje rodziców. Chciał zrezygnować ze startu, w końcu przyjechał, był zalamany, pojechał i tak nieźle, ale poniżej swoich normalnych możliwości. Czy startuje nadal, bo uważa, że potrzebny jest swej drużynie, czy też liczy jeszcze na zwycięstwo, czy przynajmniej miejsce w pierwszej trójce?

A z jakimi nadziejami jechali inni byli triumfatorzy, Ampler i Peschel z NRD i Smolik z CSRS — i co czuli, gdy nadszły te upadki? Co myśleli Belgowie Van Staeyen i Verstraeten, zaliczeni do czołówki zachodnioeuropejskiej, gdy tu, nie kłami defektnie czy innymi przeciwnościami, brali zwyciężają w skórę, bo trafili na lepszych? Tyle było na tym wyścigu ciekawych ludzi i spraw, o których dowiedzielibyśmy się chętnie więcej — niestety, nie zaspokojono nas. Czy Belg Verschueren jest krewnym tego słynnego Belga Verschuerena, który startował u nas tak pomyślnie przed laty? Czy Kucharaki, sądząc z nazwiska, jest przedstawicielem Polonii radzieckiej? Dlaczego tak słabo jechali Włosi? Jaką właściwie kontuzję odniósł Mickeln? Wielki wyścig to nie tylko pierwi, ale i ostatni. Szurkowski walczył o pierwsze miejsce z Ducheminem. A Norweg Eskas walczył z Finem Niemi o to, który z nich będzie ostatni. Chciało im się? Po 6-7 etapie wiedzieli już na pewno, że nie zwoją nie efektywnego. Ale jechali uparcie do końca. Po to, aby brać udział w tym współzawodnictwie? A może tylko dlatego, że to jest Wyścig Pokoju i dotraniem do końca imprezy chcieli zadokumentować swą wolę walki o pokój? A może atmosfera imprezy dodawała im siły? W cieniu wielkich, drużyna postkolonialnej Algierii zajęła przedostatnie miejsce, wyprzedzając Finlandię, mimo że indywidualnie najlepszy Fin, Hamus, zajął 34 miejsce, a najlepszy Algierczyk, Zaaf, 49. Sukcesy Polaków od razu skierowały na nich oczy naszych sprawozdawców. To dobrze, że głównie na nich. To źle — że prawie wyłącznie na nich. Nasi kolarze odnieśli największy sukces w historii imprezy. Nasi sprawozdawcy — raczej nie. RW

## Zakamuflowany autentyczny

N A TEMAT kampanii wrześniowej napisano już немало. Jest charakterystyczne, że opracowania działają na różnych szczeblach, albo autentyczne relacje i wspomnienia, albo beletrystyka. „Droga” Ferdynanda Zamojskiego również poświęcona jest tematowi Września, ale jej gatunek literacki jest trudny do ustalenia. Autor dał nam beletrystyczną opowieść o bojach 11 dywizji piechoty na szlaku od Wiskoki do Lwowa, widzianych oczami podchorążego — zastępcy dowódcy plutonu. Metoda potraktowania tworzywa książki przypomina „Boje Franka Kuriaty” Władysława Milczarka, ale się od niej różni zasadniczo różni. Kiedy Milczarek, chociaż sam oficer 13 dywizji piechoty, swoje doświadczenia z kampanii ceduje na fikcyjną postać starszego strzelca Kuriaty, Zamojski pozostawia własne przeżycia swemu „alter ego”, którego łatwo rozpoznajemy w podchorążym Pomianowskim. Dlatego beletrystyczna opowieść Zamojskiego nie tylko bez państwa obciąża przy realności, ale jest i bardziej autentyczna. Po odrzuceniu słabej osłony zmyślnych narwi bez trudu rozszyfrowujemy nuzając pułkowie, batalionów i kompanii oraz nazwiska ich dowódców. Kto temu nie wierzy, niech przed lekturą „Drogi” przeczyta relacje dowódcy 11 dywizji gen. Prugar-Ketlinga, publikowaną w 3 i 4 numerze „Wojskowego Przeglądu Historycznego” z roku 1937. Będzie mógł potem swobodnie podkładać beletrystykę Zamojskiego pod relacje dowódcy jako dywizji. I o dźwię — pod względem autentyzmu beletrystyka okazała się prawdziwszą od oficjalnej relacji! Dla ścisłości podani, że anonimowy pułk podchorążego Pomianowskiego nosił faktycznie numer 48 i stacjonował w przedstawionym, ale nie wymienionym w tekście Stanisławowie. Dowódcą nim pułkownik nie nazywał się Jankowski, ale Nowak, batalion mjr Lesniaka to trzeci batalion 48 pułku, a jego dowódcą był ppłk Głowacki. Porucznik Markiewicz, dowódca kompanii w boju o Rogoźno, to właściwie kapitan Jossse, zaś adiutant taktyczny pułku kapitan Karłowicz, faktycznie nazywał się Skerl. Autor opowieści nie fantazyje, opiewa wydarzenia tak, jak przebiegały, dzięki czemu jego książka może się posługiwać także historią kampanii wrześniowej. Znajdzie w niej wiele materiału do wypełnienia luk pozostawionych w relacji generała Prugar-Ketlinga czy opracowaniu ppłk Kosłowa „Armia „Karpaty” w kampanii wrześniowej”. Niektóre ten materiał jest szczególnie cenny, jak np. w odniesieniu do natarcia 48 pułku na 55-Standardu „Germania” nocą z 15 na 16 września pod Rogoźnem. Dowódcy dywizji szczególnie tego działa-

# Zbiory specjalne Biblioteki UMCS

Wydawnictwo UMCS posiada bogatą kolekcję map i atlasów geograficznych, historycznych, politycznych, topograficznych, turystycznych itd., a następnie plany miast, globusy i nowość techniczna — mapy plastyczne, w których rzeźba terenu zamocowana jest nie tylko kolorem, lecz również z zastosowaniem podziałki pionowej. Zbiory te obok wartości użytkowej mają często charakter źródła naukowego. W Bibliotece UMCS znajdują się wszystkie polskie wydawnictwa kartograficzne od roku 1924, następnie współczesne obce oraz poważny zbiór starych atlasów, map i planów miast. Wśród cenniejszych wyróżnić trzeba m. in. „Atlas mapparum geographicarum generalium et specialium...” Norimbergae 1782, „Atlas général méthodique et élémentaire...” Paris 1778 r., „Carte de la Pologne” wyd. w Paryżu w r. 1772, oraz „Geographie du moyen âge, études par Joachim Letewell, Atlas...” Bruxelles 1858. Biblioteka posiada również wiele map ziem polskich z XIX wieku (w tym rzadkie mapy topograficzne) oraz stare plany miast m. in. Gdańska (1734, 1739 i 1752 r.), Berlina (1823 r.), Paryża (1858 r.), Warszawy (1822 r.), Kiszkiwa (1871 r.), Piotrogródu (1817 r.), Kiele (1813 r.), Radomia (1818 r.), Lublina (1818, 1819, 1925 i 1931 r.). Na uwagę zasługują także pokazane kolekcja przewodników turystycznych dawnych i współczesnych.

Zbiory muzyczne w bibliotekach stanowią dawniej nuty, śpiewniki i książki o treści muzycznej. Postęp techniki dokonał przeobrażeń i w tej dziedzinie. Obecnie obok wymienionych materiałów gromadzi się również dokumenty fonograficzne czyli płyty i taśmy magnetofonowe z nagraniami muzyki, tekstów literackich i do nauki języków obcych. Obecność tego rodzaju zbiorów w bibliotekach naukowej jest w pełni uzasadniona, ponieważ stanowią one niezwykle trwałe udokumentowanie dźwiękowego, a ponadto lingwistyczny umożliwiają nabytciu czynnej znajomości języków obcych, tak niezbędnej w dobie rozległych kontaktów międzynarodowych. Płyty mogą mieć również wartość dokumentu historycznego, jak np. posiadana przez Bibliotekę UMCS płyta z przemówieniami W. I. Lenina. Ze zbiorów fonograficznych korzystają pracownicy nauki i studenci wyższych uczel-

ni Lublina oraz uczniowie szkół muzycznych, a np. Teatr Im. J. Osterwy czerpie z nich materiał do ilustracji muzycznej i efektów dźwiękowych swoich przedstawień. Osobny dział stanowi tzw. dokumenty życia społecznego. Są to druki jednostronne i ulotne, afisze, kalendary, normy i opisy patentowe, informatory, katalogi wystaw oraz techniczne i handlowe prospekty, wykazy osobowe i rzeczowe, księgi hodowlane, druki dotyczące ewentualnego życia instytucji i stowarzyszeń, programy teatralne i kinowe, rozkłady jazdy i wiele podobnego typu materiałów, które biblioteka uniwersytecka otrzymuje jako egzemplarz

# POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: pozostała, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybrałmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium. Nasza niejednoznaczna rubryka tym razem posiada charakter bardziej jeszcze niejednoznaczny. Niejednoznaczny w kategoriach abstrakcyjnych. Biedzieliśmy się bowiem nad problematem, czy utwory posiadające zakwalifikować do rubryki, wyrazić do kosza, opublikować w numerze? Mamy wszelako znawców — prezesa Klubu Empirionistów, Adamowiczka z Lublina. Może ci rozwieją wątpliwości nekające nasze serca — dobrze zrobiliśmy drukując tu następujące teksty?

**AUTO-PAMFLET**  
poeta — taki owak...  
Zgubił pępek  
Gardelko hołd pieprzyni wród  
i fatko tyje w pupie bije  
... Słektety szukał czy zaputki  
szepał schizma — dymu brak...  
Wpada — to grufficie dla poezji  
romantyki chudy nudnych czasów  
Szukał idei oraz grogu  
— I szafa gra Te płyty starte —  
Lecz... uciął ten pępek...  
Może nie był  
może — zabrali milicjanci  
Cóż — to każdym razie  
pępek brak  
ojera w brzuchu niestychana  
i toleracja nie ma czym zastąpić  
Szukałby ale w boku strzyka  
Zonglując grabnie pępek w buzi  
— uśmiecha się  
O ziemski rajul...  
— Zaraz  
zgwiżdże na Hamleta  
Gdy Hamlet przyjdzie będzie szaro  
mniej wtedy uszne z kim przyjemność  
Strzelać po setce bo na dworze  
za zimno myśleć o ludzkości  
**MODLITWA**  
O błada miłości!  
— Młdeję to tobie drzewa —  
Z nieba na litery  
kop mi jako budulca...  
Oj, prochu ty zwietony —  
Rysuj się, choć rysuj  
Jak o wiatru kosę  
Martwe na nas języki.  
Miecznik uciął i mieczni!  
— Lukrem na te oczy...  
— Bo wiatr, smutki diabeł  
Los — rusie, balon marny...  
O, miłość mini  
— Tuje ja w tej prałni —  
I, laszki te zrzuć  
dla dratwy czy chwały...  
— Kto zdziwion? miłość...  
Wiedz... po także ziemi...  
Ludzie grochem tańczą  
jak po bębnie na kozy.  
No i jak? Dobrze zrobiliśmy, u-  
dzielając miejsca Panu K.B. z Mielca?

obowiązkowy wszystkich polskich wydawnictw. Spośród tych dokumentów wybiera się materiały związane z techniką i rolnictwem przekazując je bibliotekom specjalnym, natomiast zatrzymuje się materiały dotyczące historii i kultury. Wartość dokumentów życia społecznego jest — zdawałoby się — krótkotrwała, przemijająca, a jednak z upływem czasu nabierają one znaczenia przy opracowywaniu dzieł historii, rozwoju społecznego, nauki i techniki, gdyż stają się nie raz jedynym źródłem historycznym przy ustalaniu faktu szeregówowego. Omówione przykładowo niektóre rodzaje zbiorów specjalnych pozwalają zorientować się w zasobach młodej jeszcze Biblioteki, młodej, bo powstała wraz z Uniwersytetem w październiku 1941 roku. Zgromadzone dotychczas źródła i bogaty już księgozbiór ułatwia-  
ja pracę naukową specjalistom różnych dziedzin i uczenie się studentów. Biorąc pod uwagę znaczenie środków audiowizualnych i urządzeń reprodukcyjnych w procesie nauki i nauczania, postawione do dyspozycji czytelników nowoczesny sprzęt w postaci czytników do mikrofilmów, rzutników, adapterów stereofonicznych, magnetofonów i dobrze wyposażona pracownia reprograficzna. Szczegółowe informacje o zawartości zbiorów specjalnych Biblioteki UMCS w Lublinie znajdują się w katalogach alfabetycznych i rzeczowych.  
Artur Iskrzycki



Atlas polski wydany w Paryżu w 1772 r.

\*) Ferdynand Zamojski, „Droga”. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1978. Wyd. II, stron 252, cena zł 13.



„W ten sposób wszyscy, jak w grobie siebie czytają sobie”

Stwierdzenie jest celne, ironiczne, ukazujące grono ludzi, z których żaden nie posiada talentu...

„W ten sposób wszyscy, jak w niebie siebie czytają siebie”

Dochoł się więc druga strofa pozornie lagodniejsza, a w gruncie rzeczy jakże wzmagająca jej wymowę...

„Szukałem czegoś takiego w środowisku literackim, ponieważ przeczytałem artykuł „Czyby wygodnie ułożyć się do snu”...

Julianowi Karnhauserowi, że artykuł „Szansa grupy” („Życie Literackie” nr 5) poświęcone grupie...

Zadziwiająco, jak mało współnego z rzeczywistymi poszukiwaniami artystycznymi mają te

wzruszliwe eskapady młodocianych druzny zgłaszających się w poetyckim alercie. Jakiś dziecięcy...

Oczywiście, nie zajmie się tym żaden literacki krytyk. Każdy woli „rewidować” bezporeczne wartości...

Ijon

Ze co? Uderzam w wielki drzew? A czy nie jest tak, że brzęczenie muchy zagłusza nam...

Jacek

Drogi Jacku! Tuż felieton też przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Zastanawiam się, czy ów „wielki drzew” jest właśnie tu...

Ze swojej strony zadzwoniłem do Warszawy pod wskazany w ogłoszeniu numer telefonu. Zgłosił się p. Szelek. Ostrożnie sprężył...

„Kudłatka” — potwierdził w rozmowie z mną — była traktowana jak domotek. Nie możemy się pogodzić z tą stratą”.

Cały problem jest więc w gruncie rzeczy nie tyle psi, co ludzki i chyba trzeba go traktować...

MAJ

skich ostatnio znacznie się poprawiła. Lecz ile przy tym paradoksu. Narzekamy na deficyt skóry...

W demu mam stare polskie dżinsy. Trochę się zbliżyły, trochę przytyłem, muszę mieć większe...

Identycznie wygląda sprawa z równo poszukiwanymi spodniami ze sznurkami. Polski klient ma prawo czuć się rozgoryczony...

Na razie jednak nie mam takich spodni, jakie chętnie bym nabył!

Paliwoda

„Ale zaraz nasuwa się wniosek drugi i dlatego wspominałem wyżej, że ogłoszenie w „Życiu Warszawy”...

„Sądze, że Pan Redaktor dobrze mnie zrozumiał. Bardzo lubię psy, bardzo ubolewam, gdy tym miłym stworzeniem człowiek wyraża krzywdę...”

Cóż jednak znaczy zaginięcie Kudłatki wobec masowej tragedii setek tysięcy mieszkańców Peru, spośród których 50-60 tysięcy...

P. Szelekysa przeszacować 3000 złotych na odnalezienie psa może właściwie czuć się bardzo szczęśliwy...

nie dla potrzeb rynku wewnętrznego dobrego płótna na lenie spodnie? I nie stać na uszytce z niego spodni nie gorszych...

W demu mam stare polskie dżinsy. Trochę się zbliżyły, trochę przytyłem, muszę mieć większe...

Identycznie wygląda sprawa z równo poszukiwanymi spodniami ze sznurkami. Polski klient ma prawo czuć się rozgoryczony...

J. G. w Kielcach. „dla zagrożonej przez światło wiatru / zasława zięknie powoje / wyrosła samorodnie na alternatywie / przeistoczenia nie ziemskiej anarchii / wiszącej na szczytach smoczego otchłania / przelanego z czary urojen / wspomnienia / i tylko powój śmieje refleksami”...

W. S. w Białej Podlaskiej. Na ocenę wierszy jeszcze, naszym zdaniem, w wczesnie. Znajdujemy pewną wrażliwość, ale też dużo pozy...

J. P. w Zahru. Nie lubimy — bardzo tekstów, których humorek opiera się na „tych rzeczach”. Najłatwiejsza droga humorysty i najbardziej...

Entliczki w poezji

KONSTANTY Bidefons Galczyński — którego subtelny dowcip (na szczęście) uniknął oprawców krytycznych...

BIG-BEAT

Kudłatka i szczypta zadumy

PANIE Redaktorze! W poprzednim numerze „Kamień” Ijon (felieton na ostatniej stronie pi. „Człowiek żywym”)...

FELIETON Z REZERWY

Nie mam spodni

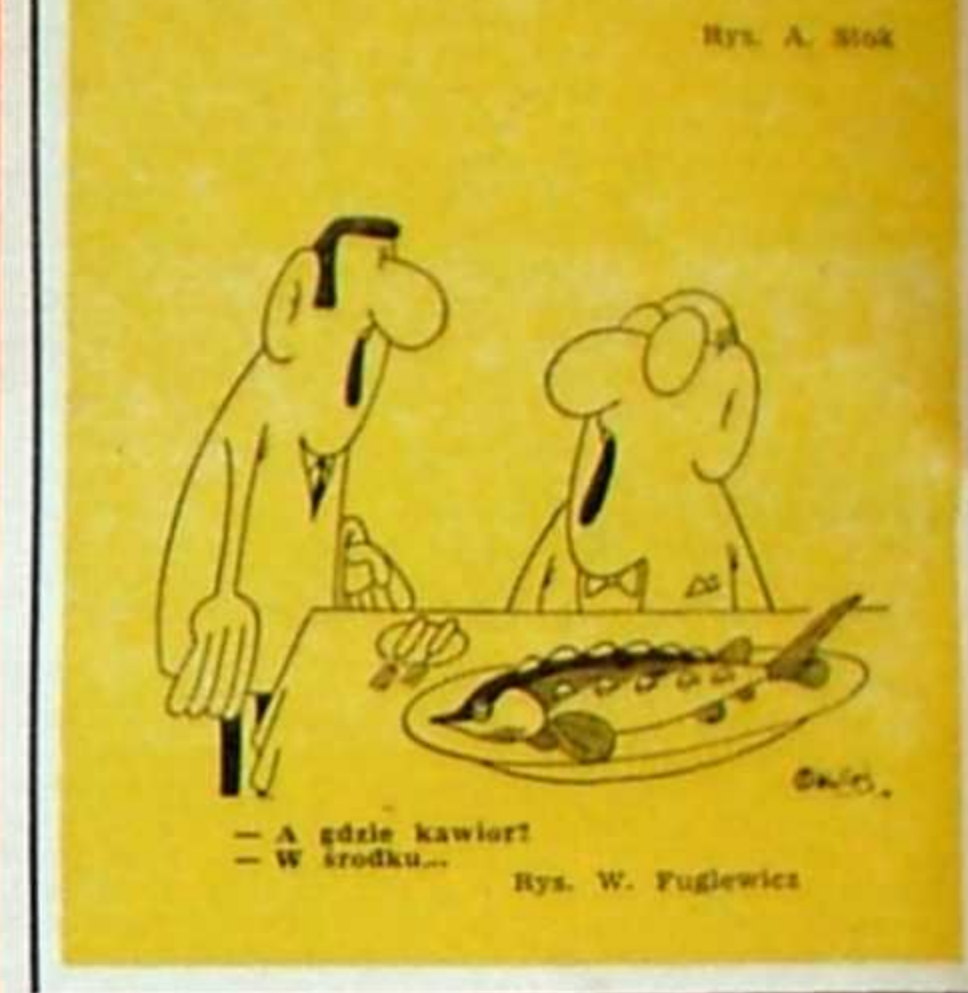
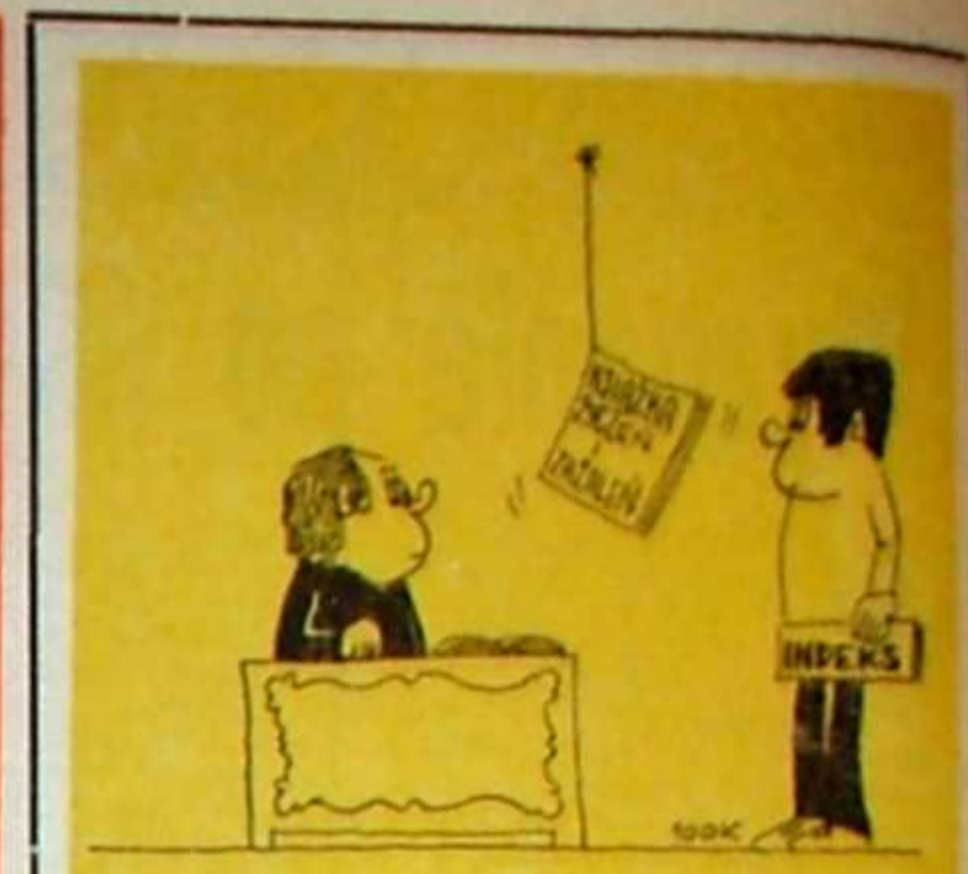
W POBLIZU lubelskiego Zamku znajdują się dwie ważne placówki handlowe: dom towarowy LSS „Bazar” i sklep PKO (Polskie Kasy Opiek) — SA (Spółka Akcyjna) „Bazar”...

Odpowiedzi redakcji

P. M.-N. w Warszawie. Bardzo dziękujemy. Przepraszamy za drobny — z punktu widzenia korekty — a poważny chyba — dla autora — błąd w druku...

J. Ch. w Bilgoraju. Odrębnego działu debiutów istotnie nie prowadzimy, natomiast drukujemy — od czasu do czasu — debiutanckie opowiadania i wiersze...

E. P. w Skarżysku Kamiennej. Listownych odpowiedzi zasadniczo nie udzielamy, jako że brak u nas tzw. odrębnej komórki, która musiałaby zająć się tą sprawą...



— A gdzie kawior! — W środku... Rys. W. Fuglewica

NOTY i notki

Do mowy potocznej, a nawet języka literackiego, przenika coraz więcej słów i wyrazów, zrodzonych w trybach biurokracji. Z prawdziwą satysfakcją notuję jednak przypadki odwrotny. Owe w analizach ekonomicznych i oficjalnych sprawozdaniach...

A z narzewnictwa też coś nowego. Jak się okazuje nasze budownictwo, nie mogąc nadążyć z wykonywaniem planów gospodarczych, z dodatkami wypełnia plany wymyślania coraz dziwniejszych nazw...

Przy ul. Królewskiej w Lublinie znajdują się pomieszczenia Wojewódzkiego Zakładu Duszkolenia Zawodowego, który wykaźniał już ponad 116 tys. fachowców. Około 30 cm od drzwi wejściowych znajduje się wielkie okno wystawowe, a w nim duży napis: Pójdźcie do mnie wszyscy...

„W Polsce przeciętne życie dziennikarza trwa 33 lata — to znaczy o 15 lat krócej niż średnie życie Polaka rodzaju męskiego. Spółród 5 polskich dziennikarzy tyko jeden ma szansę dożyć do emerytury” — pisze Maciej Hosiński w nr 23 „Poliya”...

„Problem mieszkańców Słonecznego Wągorza” — czytamy w „Sztandarze Ludu” z 27 maja, a wiadomość dotyczy osiedli Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Jedno z osiedli nosi miano Mickiewicza, drugie Stowackiego, trzecie — Piastowski...

„Ktoś wpadł na pomysł narzania modnych damskich spodni „spodniunami”. Ten potworek językowy powtarzany jest i imitowany przez niektórych dziennikarzy radiowych i prasowych...